

NASI EKSPERCI O KORONAWIRUSIE

O MOŻLIWE SCENARIUSZE ROZWOJU EPIDEMII, A TAKŻE SPECYFIKĘ NOWEGO WIRUSA ZAPYTAŁIŚMY PROF. ROBERTA NAWROTA, DR HAB. INŻ. JUSTYNĘ BRONIARCZYK I DR. JAKUBA BARYLSKIEGO Z PRACOWNI WIRUSOLOGII MOLEKULARNEJ WYDZIAŁU BIOLOGII UAM

s. 2

JAKI REKTOR NA NOWE CZASY?

CHĘĆ KIEROWANIA UCZELNIĄ OD PAŹDZIERNIKA 2020 ROKU WYRAZILI: PROREKTOR DS. STUDENCKICH PROF. DR HAB. BOGUMIŁA KANIEWSKA ORAZ PROREKTOR KIERUJĄCY SZKOŁĄ DOKTORSKĄ UAM, PROF. DR HAB. RYSZARD NASKRĘCKI

s. 9–14

ISSN 1231-8825



ŻYCIE UNIWERSYTECKIE

nr 4 [320] kwiecień 2020

uniwersyteckie.pl

z pasją o Nauce 

NA TROPIE PIASTOWSKIEGO DNA

s. 16

KRÓLEWSKIE LABORATORIUM UAM

s. 18





NASI EKSPERCI O KORONAWIRUSIE

11 marca rektor UAM, prof. Andrzej Lesicki, podjął bezprecedensową w dziejach uczelni decyzję. W związku z coraz liczniejszymi przypadkami infekcji koronawirusem odwołał zajęcia ze studentami, zawiesił wyjazdy zagraniczne pracowników, a także wstrzymał przyjmowanie gości. Uczelnia zamarta. O możliwe scenariusze rozwoju epidemii, a także specyfikę nowego wirusa zapytaliśmy **prof. Roberta Nawrota, dr hab. inż. Justynę Broniarczyk i dr. Jakuba Barylskiego** z Pracowni Wirusologii Molekularnej Wydziału Biologii UAM.

Co niezwykłego jest w wirusie SARS-CoV-2? I jakiej nazwy powinniśmy używać: SARS-CoV-2 czy COVID-19, bo obie pojawiają się zamiennie w mediach?

Nowy koronawirus zidentyfikowany po raz pierwszy w chińskim mieście Wuhan w grudniu 2019 roku nazywa się SARS-CoV-2, czyli koronawirus wywołujący ciężki ostry zespół oddechowy 2 (ang. *severe acute respiratory syndrome coronavirus 2*). COVID-19 to nazwa wywołanej przez niego choroby (ang. *coronavirus disease 2019*). Wirus przypomina wirusa SARS-CoV, który wywołał epidemię w Azji i Kanadzie w latach 2002-2003 oraz wirusa MERS-CoV, który wywołał epidemię na Bliskim Wschodzie w latach 2012-2014. Podobnie jak SARS-CoV, charakteryzuje się on bardzo szybkim tempem rozprzestrzeniania, gdyż jedna osoba może zakażać aż 2-3 osoby, a w przypadku MERS wskaźnik ten wynosi około 1 osoby. Jednak w odróżnieniu od pierwszego SARS, gdzie około 10% infekcji miał przebieg bezobjawowy, szacunki wskazują, że w przypadku COVID-19 taki bezobjawowy lub bardzo łagodny przebieg może dotyczyć nawet 80% przypadków, co znacznie zwiększa ryzyko rozprzestrzeniania się wirusa.

11 marca WHO ogłosiła stan pandemii wywołanej tym wirusem. Jest to dla wielu z nas sytuacja bezprecedensowa, czy powinniśmy się go bać?

Ogłoszenie pandemii jest rutynową decyzją Światowej Organizacji Zdrowia. To, że mamy do czynienia z pandemią, było wiadomo już od kilku tygodni, jednak WHO zwlekało z decyzją, aby nie robić tego pochopnie. Pandemią nazywamy epidemię, która rozprzestrzeniła się na znacznym obszarze. Zazwyczaj ogłasza się ją, jeśli zasięg choroby obejmuje więcej niż jeden kontynent. W stosunku do każdego koronawirusa powinniśmy zachować ostrożność. Nie powinniśmy się jednak bać. Najlep-

szym możliwym rozwiązaniem w tej sytuacji jest racjonalne zachowanie, ostrożność, unikanie niepotrzebnych zgromadzeń i ścisła współpraca z służbami sanitarnymi.

Co wiemy o COVID-19?

Wg szacunków WHO z 6 marca 2020, 80% przypadków COVID-19 ma przebieg łagodny lub bezobjawowy, 15% ciężki (wymaga podawania tlenu), a 5% krytyczny (wymaga podłączenia pacjenta do respiratora). Śmiertelność szacuje się na 3-4%. Większość z osób, u których COVID-19 przebiega bardzo ciężko, to osoby powyżej 65 roku życia, cierpiące także na inne schorzenia, jak np. choroby układu sercowo-naczyniowego, cukrzyca lub nowotwory. Bezobjawowy przebieg dotyczy głównie osób młodych, dzieci o silnym układzie odpornościowym. Szacunkowe dane WHO wyliczono na podstawie dotychczasowych przypadków objętych opieką lub monitoringiem medycznym. Wiele łagodnych przypadków pozostaje niewykrytych, a ludzie, którzy je przeszli, nie wiedzą nawet, że chorowali na COVID-19.

Czy możemy przewidzieć, jak długo potrwa pandemia?

Niestety, nie. Musimy pamiętać, że mamy do czynienia z nowym wirusem i dlatego nadal pozostaje wiele wątpliwości. Wciąż nie wiadomo, czy rozprzestrzenianie się wirusa w Europie naturalnie spadnie podczas lata na półkuli północnej, podobnie jak obserwujemy to w przypadku sezonowych zachorowań np. na grype.

Kiedy możemy spodziewać się pierwszej szczepionki na COVID-19? Na czym polegają prace wirusologów nad rozpracowaniem tego wirusa?

Opracowywanie szczepionek to dość długi proces, liczony raczej w latach niż tygodniach. Aktualnie, w wielu krajach m. in.

Chinach, USA i Niemczech przeznaczono duże środki finansowe w celu opracowania skutecznej szczepionki przeciwko SARS-CoV-2. Wg WHO proces jej przygotowania i dopuszczenia może zająć co najmniej 18 miesięcy. Jak dotąd opracowano różne szczepionki przeciwko wirusom spokrewnionym z nowym koronawirusem np. SARS-CoV i MERS-CoV, jednak żadna z nich nie została dopuszczona do użytku u ludzi. W chwili obecnej prowadzone są także intensywne badania nad wykorzystaniem niektórych znanych leków przeciwwirusowych w terapii COVID-19. Wyniki wstępne są obiecujące, lecz należy poczekać na potwierdzenie skuteczności i bezpieczeństwa takiej terapii.

To, co obecnie budzi najwięcej spekulacji – zwłaszcza w prasie i w mediach społecznościowych – to mechanizm działania tego wirusa i metody jego zwalczania.

Budowa cząstki koronawirusa SARS-CoV-2 jest dobrze poznana i wykazuje podobieństwo do innych koronawirusów. Dlatego prowadzone obecnie badania, oprócz prac nad opracowaniem szczepionek, koncentrują się także na monitorowaniu wystąpienia mutacji w jego genomie, które mogą prowadzić do wyodrębnienia się nowych szczepów o zmienionych właściwościach. Genomem, czyli materiałem genetycznym SARS-CoV-2, podobnie jak innych koronawirusów, jest nić kwasu rybonukleinowego, w skrócie RNA, która zaraz po wnikięciu do komórki może służyć wirusowi jako matryca do produkcji wirusowych białek i zarazem ulegać kopowaniu, tzw. replikacji. Prowadzi to do szybkiej produkcji nowych cząstek wirusowych, które uwalniają się z komórki, zakażając następne. Wirus poprzez białka wypustek na swojej powierzchni przyłącza się do receptorów na powierzchni ludzkich komórek układu oddechowego, głównie w płucach, mogąc wywołać nawet już po kilku dniach objawy ciężkiego wirusowego zapalenia płuc.

Najnowsze dane wskazują, że SARS-CoV-2 może utrzymywać się w powietrzu do 3 godzin, a na powierzchniach nieożywionych od kilku godzin do 2-3 dni. Warto jednak podkreślić, że przez cały ten czas ilość cząstek zakaźnych spada, a proces ten może być znacznie przyspieszony w wyższej temperaturze. W temperaturach około 60°C inaktywacja jest niemal natychmiastowa. Podobne działanie mają płyny dezynfekcyjne, w tym te oparte na etanolu, izopropanolu i detergentach.

Jak powinniśmy bronić się przed infekcją? Co sądzą Państwo o zaleceniach GIS, czy są w stanie zatrzymać wzrost zachorowań?

Wirus dostaje się do organizmu przez oczy, nos i/lub usta, dlatego ważne jest, aby unikać dotykania twarzy nieumytymi rękami. Zatem tak, zalecenia GIS są słuszne - należy często myć ręce i nie dotykać twarzy i oczu. Pozwoli to na znaczne zmniejszenie ryzyka zakażenia się tym wirusem. Dodatkowo, unikanie bezpośrednich kontaktów międzyludzkich powinno znacznie zmniejszyć ryzyko zakażenia, gdyż wirus przenosi się drogą kropelkową na co najmniej 1,5 m.

Zamknięcie szkół, przedszkoli i innych instytucji oraz odwołanie imprez masowych może pomóc w ograniczeniu transmisji wirusa. Jeżeli wszyscy będziemy się stosować do poleceń służb sanitarnych, m.in. często i prawidłowo myć ręce, unikać dużych skupisk ludzkich, to możemy ochronić nie tylko siebie, ale przede wszystkim osoby o obniżonej odporności, które są najbardziej narażone na ciężki przebieg choroby. Pozwoli to co najmniej spowolnić rozprzestrzenianie się wirusa. Ma to duże znaczenie w kontekście możliwości leczenia najcięższych chorych - chodzi o to, aby w tym samym czasie nie pojawiła się duża liczba ciężko chorych, których nie będzie gdzie skutecznie leczyć. Musimy zatem uzbroić się w cierpliwość i spokój, wspierać się w tym trudnym okresie, stosować się do zaleceń władz i nie wpadać w panikę.

Wywiad został przeprowadzony w dniu 12 marca br.



ZDJEŚCIE NA OKŁADCE: ADRIAN WYKROTA

WYDARZENIA

2 | NASI EKSPERCI O KORONAWIRUSIE

4 | ZNÓW ZAKWITNĄ KWIATY NA MORASKU

PROJEKTY UAM PRODUKTAMI PRZYSZŁOŚCI

CHCEMY ZAPEWNIĆ WSPARCIE

Rozmowa z Joanną Maruszczak,
przewodniczącą Samorządu Studenckiego UAM

WYBORY W PAŃSTWIE DEMOKRATYCZNYM

6 | AKUSTYKA MA MOC

7 | UCZELNIA OTWARTA DLA WSZYSTKICH

8 | KOSMOS JEST JEDEN

OPINIE

JAKI REKTOR NA NOWE CZASY?

9 | PO PIERWSZE: SKUTECZNE ZARZĄDZANIE

Prof. dr hab. Agnieszka Cybał-Michalska
Dziekan Wydziału Studiów Edukacyjnych UAM

10 | LICENCE TO DREAM

Prof. dr hab. Przemysław Wojtaszek Dziekan Wydziału Biologii UAM

11 | PRIORYTETY MOJEGO REKTORA...

Prof. dr hab. Waldemar Kuligowski

12 | NIE PODCINAĆ SKRZYDEŁ, NIE WYRYWAĆ PIÓR...

Prof. UAM dr hab. Piotr Łuszczkiewicz Dziekan Wydziału
Pedagogiczno-Artystycznego UAM w Kaliszu

13 | SATRAPA I DEMOKRATA

Prof. dr hab. Zbigniew Piłarczyk Wydział Historii UAM

14 | „BYĆ NARODOWI UŻYTECZNYM”

Dr Paweł Michał Owsiański, dyrektor NI UAM w Pile

NAUKA

14 | PROF. MAREK KWIEK – O ROSNĄCEJ ROLI PRESTIŻOWYCH PUBLIKACJI

16 | NA TROPIE PIASTOWSKIEGO DNA Z PROF. MARKIEM FIGLEROWICZEM

18 | KRÓLEWSKIE LABORATORIUM UAM

Rozmowa dr Anną Juras

20 | KOEWOLUCJA: WYPRZEDZIĆ WROGA

22 | PRESBIOPIA – CHOROBA DŁUGICH RĄK

24 | SINGIEL W TEORII NIEJASNEJ STRATY

Rozmowa z prof. Katarzyną Adamczyk z Wydziału Psychologii
i Kognitywistyki

25 | O DZIECIACH DLA ONZ

Rozmowa z Łukaszem Szoszkiewiczem, doktorantem z WPIA

26 | KOBIETY, MĘŻCZYŹNI I NAUKA

Rozmowa z prof. Alesią Zuccalą z Uniwersytetu Kopenhaskiego

27 | NASI NAUKOWCY WSPÓŁODKRYWCAMI

POROWATYCH CIECZY JONOWYCH

28 | JASKINIA (NIE TYLKO) FILOZOFÓW

Rozmowa z Jarosławem Markiem Spychałą,
doktorantem na Wydziale Filozoficznym UAM

ŚWIĘTA

29 | CZŁOWIEK JEST JEDNOŚCIĄ

Rozmowa z ks. Markiem Gubernatem MSF

LUDZIE UAM

30 | PROF. WITOLD MOLIĆ. NA DZIEJOPISA JAŚNIEJĄC URZĘDZIE

ZNÓW ZAKWITNĄ KWIATY

Jest szansa, by przywrócić naturalne łąki na Morasku. W ten sposób lepiej ochronimy się przed smogiem i suszą, a przy okazji oszczędzimy pieniądze.

Naukowcy i przedstawiciele administracji UAM spotkali się na Wydziale Biologii, by ustalić, jak uniwersytet może zmienić gospodarowanie terenami zielonymi tak, by służyły dobrze zarówno ludziom, jak i środowisku.

Dyskusja prowadzona przez prof. Justynę Wiland-Szymańską, dyrektor Ogrodu Botanicznego UAM toczyła się wokół zieleni na Kampusie Morasko, od której rozpocznie się wprowadzanie zmian. Botanicy i zoologowie postulowali odtworzenie łąk, które niegdyś tu istniały. Właśnie łąki, bogate w różnorodne gatunki roślin, potrafią pełnić rolę filtra chroniącego przed miejskimi zanieczyszczeniami. To naturalna przeciwsmogowa bariera, która utrzymuje też niższą temperaturę terenu i sprzyja gromadzeniu wody w glebie. – Im większa masa zielona, tym lepiej – przekonywał botanik prof. Andrzej Brzeg.

Badacze wskazywali na konieczność wspierania małej retencji, czemu służy utrzymywanie jak największej powierzchni dzikich terenów zielonych i gromadzenia wody w niewielkich zbiornikach, co pomoże lepiej radzić sobie ze skutkami suszy. Pojawiła się propozycja napisania przez uniwersytet wniosku o sfinansowanie projektu retencji, skierowanego do Unii Europejskiej, która w najbliższych 7 latach przeznaczy duże środki na adaptację do zmian klimatycznych.

Biologowie przekonywali, że potrzebne jest wprowadzenie roślin, krzewów i drzew miododajnych i owocujących, które mogłyby przyciągnąć dzikie pszczoły, trzmiele i inne owady np.

różnorodne gatunki motyli, z których Morasko niegdyś słynęło. – Każda roślina jest potrzebna – jest żywicielem całej grupy drobnych zwierząt i stanowi schronienie dla płazów – wyjaśniał prof. Kubczyk. – Potrzebne są np. pokrzywy, na których pięknie rozwijają się rusałki pawiki.

Studenci z Akademickiego Koła Naukowego Gospodarki Przestrzennej zaoferowali pomoc w stworzeniu wspólnej, zintegrowanej koncepcji zagospodarowania przestrzennego kampusu, która starałaby się pogodzić potrzeby przyrodnicze, rekreacyjne i estetyczne Moraska.

Poruszono również problem zaśmiecenia fragmentu terenu należącego do kolei i koryta Różanego Strumienia, w którym roi się od ciemnych butelek po piwie. Takie pojemniki stanowią śmiertelną pułkę dla owadów i małych ssaków, jak nornice.

Postanowiono przygotować plan gospodarowania i ochrony terenów zielonych na Morasku. Zdecydowano, że pierwsze koszenie murawy w tym roku odbędzie się znacznie później niż zwykle – pod koniec czerwca lub na początku lipca. Dzięki temu rośliny będą miały czas na kwitnienie, wytworzenie i wysianie nasion, a podloty – młode ptaki, które opuściły gniazda, ale nie umieją jeszcze dobrze fruwać, będą miały schronienie. Częściej koszone będą tylko tereny, przeznaczone pod duże imprezy. Dodatkową korzyścią takiego gospodarowania będzie oszczędność pieniędzy przeznaczonych na koszenie.

Ewa Konarzewska-Michalak



FOT. ADRIAN WYKOTA

PROJEKTY UAM PRODUKTAMI PRZYSZŁOŚCI

Projekty z dziedziny medycyny, chemii, elektroniki czy biotechnologii nagrodzono w 22. edycji konkursu „Polski Produkt Przyszłości”, organizowanego przez Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości i Narodowe Centrum Badań i Rozwoju.

Konkurs ma na celu promowanie opracowanych w Polsce innowacyjnych produktów i technologii, które mają potencjał, by zaistnieć na rynku światowym. Zgłoszono 96 projektów – o 24 więcej niż rok wcześniej. – Wyłonieni zwycięzcy to autorzy najbardziej innowacyjnych produktów i technologii opracowanych w Polsce. Dzięki nim nasze firmy i jednostki naukowe są bardziej konkurencyjne – powiedział Jarosław Gowin, minister nauki i szkolnictwa wyższego.

W kategorii „Produkt przyszłości – przedsiębiorcy” nagrodę główną otrzymał projekt StethoMe, który stworzony został m.in. przez naukowców z Wydziału Fizyki UAM. Ten inteli-



FOT. LUKASZ WOŹNY

gentny stetoskop wykrywa nieprawidłowości pojawiające się m.in. w przebiegu infekcji, zapalenia płuc czy astmy i umożliwia pacjentowi wykonanie samodzielnego badania w domu.

W kategorii „Wspólny produkt przyszłości instytucji systemu szkolnictwa wyższego i nauki oraz przedsiębiorcy” Fundacja UAM oraz Innosil Sp. z o.o. otrzymali wyróżnienie za ILAGRO – innowacyjny produkt stymulujący odporność roślin.

Jagoda Haloszka



FOT. JAGODA HALOSZKA

CHCEMY ZAPEWNIĆ WSPARCIE

Z **Joanną Maruszczak**, przewodniczącą Samorządu Studenckiego UAM rozmawia Jagoda Haloszka.

Dlaczego zdecydowałaś się ponownie startować w wyborach na stanowisko przewodniczącego Samorządu Studentów?

Nie potrafię siedzieć beczynnie w domu i patrzeć, jak np. są naruszane prawa studentów. Gdy widzę problem, staram się dowiedzieć, dlaczego coś nie działa, a następnie szukać rozwiązań. Póki mam siły i zespół, który mnie przekonał do ponownego wyboru oraz stanął za mną murem, cieszę się, że mogę nadal realizować kolejne plany. Zdaję sobie sprawę, że bieżąca kadencja jest bardzo krótka, ponieważ potrwa zaledwie sześć miesięcy, lecz zawierają się w niej wybory rektorskie oraz dziekańskie. Widzę, że wydziałowe samorządy, które zgromadziły wiele osób zaczynających studia, potrzebują wsparcia. Chciałabym zapew-

nić im wsparcie szkoleniowe, prawne czy też związane z opiniowaniem studiów. Planujemy wspomóc wszystkich, czy to dobrą radą czy też stworzeniem potencjalnej bazy pytań dla kandydatów na stanowiska kierownicze do spraw studenckich.

Twoje kadencje łączą się z ważnymi wydarzeniami na naszym uniwersytecie. Najpierw implementacja ustawy 2.0, teraz wybory rektorskie.

Implementacja ustawy 2.0 nadal trwa. Mamy nowy regulamin Samorządu Studentów, a także nowy regulamin świadczeń, Statut Uniwersytetu czy zmienione programy studiów, które teraz podlegają ewaluacji. Wybory rektorskie to duże wyzwanie. Nie chciałabym, aby studenci byli postrzegani jako politycy. Prawda jest taka, że szukamy kolejnych rozwiązań czy też udogodnień dla studentów. Chcemy się skupić na polepszaniu jakości dydaktyki oraz nauczania.

Jakie samorządowe przedsięwzięcia będą powtórzone, a jakie będą nowe?

Tworzymy Wielkie Grillowanie UAM, kontynuujemy współpracę z organizacją Juwenaliów Poznańskich, a także projektu wsparcia inicjatyw studenckich Kowadło 2.0, który po raz kolejny będzie miał edycję wiosenną i jesienną. Ponadto organizujemy Bitwę Akademików, w której w tym roku biorą udział trzy drużyny reprezentujące domy studenckie UAM. Naszym kolejnym przedsięwzięciem, który powtórzymy, jest Obóz Zerowy. Wiele osób, które wzięły w nim udział, znalazło się później w naszych strukturach i aktywnie uczestniczą w organizacji kolejnych projektów. Natomiast jeśli chodzi o wielki powrót, to wraca Wyjazd, który był „matką” Obozu Zerowego. Absolwenci tego Wyjazdu to teraz pięcioro przewodniczących komisji w moim zarządzie. Dzięki niemu studenci uzyskiwali przewagę już na starcie. Dowiedzieli się m.in. czym są stypendia, gdzie można załatwić wszystkie sprawy oraz poznali przydatne wskazówki na temat sesji czy życia studenckiego. W tym roku przypada również jubileuszowa 10. edycja Studenckiego Forum Jakości. Wydarzenie to jest wizytówką samorządu studenckiego UAM na arenie ogólnopolskiej.

WYBORY W PAŃSTWIE DEMOKRATYCZNYM

WNPiD UAM był gospodarzem dwudniowej i cyklicznej konferencji „Wybory w państwie demokratycznym” zorganizowanej z okazji 30-lecia demokratycznego prawa wyborczego w Polsce. – Z prawem wyborczym jest tak, jak ze słynnym zdrowiem – dopóki jest dobre, to nie zwracamy na nie uwagi – podkreślił prof. Ryszard Balicki, członek Państwowej Komisji Wyborczej.

– To już jest trzecia konferencja z cyklu dotyczącego prawa wyborczego organizowana na naszym wydziale. Tym razem dotyczy ona wyborów demokratycznych. Bardzo nas to cieszy, bo to kolejna sposobność, żeby spotykać się z państwem co roku w Poznaniu – powiedziała prof. Magdalena Musiał-Krag, prodziekan ds. badań i rozwoju WNPiD UAM.

Podczas dwudniowej sesji badacze analizowali problematykę wyborów i stosowania prawa wyborczego, ze szczególnym



FOT. ADRIAN WYKROTA

uwzględnieniem standardów i gwarancji demokratycznych wyborów oraz praktyki wyborczej. Spotkanie było adresowane do prawników i politologów, jak również socjologów, psychologów i historyków. Osobne części konferencji poświęcono genezie demokratycznego prawa wyborczego w 1990 r. i jego dalszej ewolucji, analizie wyborów parlamentarnych z 2019 r. oraz nadchodzącym wyborom prezydenckim.

EKM



FOT. ADRIAN WYKROTA



FOT. ADRIAN WYKROTA



FOT. ADRIAN WYKROTA



FOT. ADRIAN WYKROTA

AKUSTYKA MA MOC

Sound Art Festiwal, wydarzenie z branży akustycznej na Wydziale Fizyki UAM, połączył w jedno naukę, biznes i sztukę. Druga edycja imprezy nabrała rozpędu – można było nie tylko zapoznać się z nowoczesnymi rozwiązaniami dźwiękowymi, ale również wziąć udział z warsztatami z uznanymi ekspertami i muzykami.

Festiwal zaplanowany przez prof. Romana Gołębiewskiego, dyrektora Instytutu Akustyki UAM i Dariusza Grzeszczyka, prezesa firmy DAARS początkowo był skromnym wydarzeniem. W tym roku było bogaciej – Uniwersytet Artystyczny i Akademia Muzyczna w Poznaniu dołączyły do grona organizatorów, a impreza przyciągnęła wielu wystawców z branży akustycznej. Dla uczestników, głównie studentów i młodzieży, dostępne były wystawy i prezentacje sprzętu, warsztaty dotyczące np. pierwszych nagrań, homerecordingu, narzędzi do obróbki dźwięku, nagłośnienia scenicznego, realizacji dźwiękowej. Wykłady dali przedstawiciele największych dystrybutorów sprzętu audio i wideo w Polsce. Festiwal był wyjątkową okazją do nawiązania kontaktów w branży, wymiany doświadczeń i nauki. – Wydarzenie pokazuje, że współpraca uczelni i przemysłu muzycznego może przynieść fascynujące rezultaty, daleko cie-

kawsze i szersze niż to, co tradycyjnie kojarzymy z kierunkiem fizyka, który wydaje się mocno teoretyczny – powiedziała prorektor UAM Bogumiła Kaniewska, otwierając festiwal. Warto wspomnieć, że podczas uroczystości z fantazją zagrała Kameralna Orkiestra Poznańskiej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej II st. „Poznańskie smyczki” pod przewodnictwem Jacka Pawełczaka.

Prawdziwą gratką były spotkania ze znanymi muzykami, realizatorami dźwięku, producentami i dziennikarzami np. z Robertem Friedrichem, Piotrem Madziarem, Hieronimem Wroną, Arkaei, Litza, lider Luxtorpedy, który jest nie tylko wykonawcą, ale i twórcą oraz producentem muzycznym, opowiadał o pracy dźwiękowca z perspektywy praktyka z ponad 30-letnim stażem. – Pierwszy raz wszedłem do studia nagraniowego, nazywało się Giełda, w latach 80., gdy trwała moja przygoda z zespołem



FOT. ZY ADRIAN WYKROTA

FOT. JAGODA HALOSZKA

UCZELNIA OTWARTA DLA WSZYSTKICH

Na naszym uniwersytecie studiuje ponad 700 studentów z niepełnosprawnościami. UAM realizuje projekt „Uczelnia otwarta dla wszystkich uczelnią na miarę XXI wieku”, który uzyskał dofinansowanie NCBR w konkursie „Uczelnia dostępna”.

Koszt projektu to ponad 11 mln zł. – Współpraca ze studentami z niepełnosprawnościami jest czymś, czym UAM może się pochwalić. Jest to zasługa środowiska osób z niepełnosprawnością i osób, które współpracują z tym środowiskiem – mówiła na konferencji poświęconej projektowi prof. Bogumiła Kaniewska, prorektorka UAM ds. studenckich.

W ramach tego projektu na UAM zostaną zamontowane windy w Collegium Heliodori Świąteczki, Collegium Novum (od strony al. Niepodległości) czy w tzw. „Koszarowcu” przy Wydziale Prawa i Administracji. Aule Wydziałów Chemii, Biologii, Matematyki i Informatyki oraz Studiów Edukacyjnych zyskają osiem pętli indukcyjnych dla osób z niepełnosprawnością słuchu. – System indukcyjny to tak naprawdę miedziany drut, zainstalowany dookoła sali. Jest potrzebny, aby wygłuszyć dźwięki napływające do aparatów słuchowych studentów i nakierować słyszenie na głos mówcy – podkreślała Anna Rutz, pełnomocniczka rektora UAM ds. osób z niepełnosprawnościami.

Na Kampusie Ogrody powstaną plany tyflograficzne, które ułatwią studentom niewidomym i słabowidzącym orientację przestrzenną. – Są to plany dotykowe, dzięki którym student będzie wiedział, co znajduje się w poszczególnych budynkach i jak do nich trafić. Plan tyflograficzny będą zintegrowane z systemem informowania i nawigowania osoby niewidomej przebywającej w danym miejscu. Przewidujemy instalację punktów, które na głos będą informować danego studenta, gdzie się znajduje – dodała Anna Rutz.

W ramach projektu dla studentów z niepełnosprawnością słuchu zakupione zostanie 7 tabletów z aplikacją wideo tłumacza, zapewniającą tłumaczenie na język migowy, a także dzięki współpracy z Uniwersyteckim Studium Filmowym osoby słabosłyszące będą miały dostęp do specjalnego cyklu wykładów z napisami. Mieszkańcy domów studenckich Zbyszko i Jagienka otrzymają budziki oraz poduszki, które dzięki specjalnej wibracji poinformują osoby niedosłyszące o ewakuacji. Powstanie również specjalna aplikacja mobilna, która informować będzie o ewakuacji i miejscu zbiórki.

Projekt przewiduje również kampanię edukacyjną w postaci animacji o dobrych praktykach w kontaktach z osobami z niepełnosprawnościami. Animacje te będą wyświetlane na monitorach zainstalowanych na wydziałach UAM. Przewidziany jest cykl szkoleń stacjonarnych oraz e-learningowych dla kadry dydaktycznej UAM, a także szkolenia dla lektorów Studium Języków Obcych UAM z zakresu metodyki nauczania języków obcych studentów z niepełnosprawnością słuchu.

Jagoda Haloszka

Turbo. – wspominał – Jako młody, zbuntowany metalowiec próbowałem uczyć Piotra Madziara (realizatora dźwięku z wieloletnim doświadczeniem), jak nagrywa się płyty. Powiedziałem mu, że chcielibyśmy brzmieć jak Metallica. Madziar odpowiedział: – Dobrze, ale pod warunkiem, że będziecie robić tak dobre piosenki jak Metallica i tak dobrze grać jak oni. Trzeba było lat porażek podczas realizacji różnych płyt, żeby przekonać się, że Madziar miał rację. Realizator nie jest czarodziejem.

Friedrich przekonywał, że w zawodzie realizatora dźwiękowego przydaje się cierpliwość, zwłaszcza wobec wykonawców, którzy nie zawsze trzymają emocje na wodzy, a także dystans i opanowanie. – To, czego nauczycie się na uniwersytecie, to dopiero preludium. – mówił – Przed koncertem bywa, że systemy są nieskalibrowane, instrumenty źle ustawione. Waszym zadaniem będzie szybko ratować sytuację, zanim rozpocznie się próba.

Sound Art Festiwal dał pole do popisu młodym. Zaprezentowała się „Orkiestra Laptopowa” czyli studenci Wydziału Matematyki i Informatyki UAM oraz studenci Kompozycji Elektroakustycznej Akademii Muzycznej. Furorę zrobiły skonstruowane przez studentów harfy laserowe oraz rzeźby dźwiękowe. Ciekawą atrakcją był konkurs na miks ścieżki, polegający na odpowiednim połączeniu nagranych ścieżek w jedną, spójną całość. Najlepsza ósemka uczestników otrzymała możliwość zajęć w studio nagraniowym z Piotrem Madziarem.

Ewa Konarzewska-Michalak

KOSMOS JEST JEDEN

Dzieciak w kieszeni nosi dziś sprzęt o co najmniej milion razy większej pojemności pamięci niż miał ten, który tak precyzyjnie sterował absolutnym triumfem techniki, jakim było lądowanie człowieka na Księżycu. Do dziś misja Apollo 11 budzi podziw i emocje, czego dowiodła XIX Debata Akademicka [9 marca] temu tematowi poświęcona.



FOT. PRZEWYSŁAW STANULKA

Wzięli w niej udział astronom (prof. Edwin Wnuk, UAM), informatyk (prof. Wojciech Cellary, UEP), ekonomista (prof. Jacek Mizerka UEP) i filozof (prof. Andrzej W. Nowak, UAM). Zaledwie 8 kB pamięci RAM i 76 kB ROM komputera pokładowego – jak przypomnieli prof. Cellary – sterowało systemem, który „odtworzył” Ziemię wewnątrz pojazdu kosmicznego, gdyż człowiek bez ziemskich warunków skazany jest na zagładę. Trzeba było – przy pomocy tego sprzętu – zapewnić bezpieczne lądowanie i powrót. Przedsięwzięcie imponuje także ekonomistom: misja kosztowała w sumie ponad 25 mld dolarów, a pracowało przy niej ponad 400 tys. osób. Jak wynika z raportu NASA, przyniosło to gospodarce amerykańskiej znaczący wzrost produktywności, zatrudnienia i dochodu narodowego. Dorzucił swoje słowa zachwyty prof. Wnuk: rakieta Saturn była i jest największa w historii – 110 m wysokości, 11 m średnicy, 3 tys. t wagi. Podziw budzi precyzja: gdyby np. zawiodło hamowanie, astronauci odlecieliby w Kosmos i nigdy nie wrócili; gdyby kąt wejścia w atmosferę ziemską był zbyt ostry – spłonęliby. Prof. Nowak zachwycił się – nigdy już nie powtórzonym – zgodnym sojuszem państwa–nauki–kapitału, który w ciągu zaledwie 10 lat doprowadził do tego niewyobrażalnego sukcesu.

Wpływ misji Apollo na naukę (rozkwit badań Kosmosu, no i te 380 kg materii księżycowej przywiezionej na Ziemię) i technologię (prowadzący debatę prof. Podemski przypomniał choćby tylko goretex i tomograf) jest oczywisty, ale co jeszcze pozostało po tym największym osiągnięciu technicznym XX wieku? Na ciekawy aspekt zwrócił uwagę prof. Mizerka: program przyniósł

rozwój metod zarządzania wielkimi zespołami czy koncepcji podejmowania decyzji w dużych i ryzykownych projektach. On też rozpoczął erę startupów, małych, wyspecjalizowanych firm. Choć wyrósł z rywalizacji między USA i ZSRR, to w końcu przyniósł też duże umiędzynarodowienie. Kosmos jest jeden i dla wszystkich. Dziś współpracują ze sobą badacze z różnych krajów (prof. Wnuk pochwalił się, że jego pierwsza doktorantka, Magdalena Kuźmich–Cieślak pracuje od lat w NASA). Każdy z dyskutantów wspominał, jak wielkim – i jednoczącym – przeżyciem było oglądanie transmisji z lądowania na małych czarno-białych ekranach telewizorów. Tęsknota za tą jednością pojawiła się w pytaniu studenta z poznańskiej politechniki: czy fakt, że z Kosmosu widzi się Ziemię jako niebieską kulkę bez granic, nie skłoni ludzi do porzucenia podziałów? Naukowcy byli sceptyczni. Prof. Nowak mówił o wygaśnięciu pewnego marzenia o kolektywnym zdobywaniu Kosmosu i o nauce, która rozwiąże wszelkie ludzkie problemy; w szkole chłopcy już nie chcą być kosmonautami (kontrował prof. Cellary, że na konkurs NASA zgłosiło się 18 tysięcy chętnych, z których wybrano... 5 osób). Prof. Wnuk mówił też o dotkliwym braku specjalistów: Polska Agencja Kosmiczna kolejny raz ogłasza konkurs i nie ma kandydatów...

Lądowanie na Księżycu – i idący za nim postęp nauki – poszerzyło wyobraźnię ludzi, stąd pytania o misję Artemis. Prof. Wnuk snuł wizję powstania osiedli na Księżycu, który będzie stacją przesiadkową w wyprawie na Marsa, a profesorowie Barciszewski i Nawroć martwili się o zmiany w DNA człowieka wywołane wyprawami w przestrzeń kosmiczną. Przerażająca zwłaszcza była wizja, że zmiany w mózgu uczynią astronautów niezdolnymi do korzystania ze sprzętu i kierowania wyprawą.

Misja Apollo wzbudziła wiele ludzkich marzeń (także i to, by na UAM otworzyć interdyscyplinarne studia kosmiczne). Wspomnienie misji Apollo 11 uświadamiało również, jak wielki postęp dokonał się przez te pół wieku. Ilustruje to uroczą anegdotę prof. Wnuka. Będąc wtedy, w 1969 roku, studentem, został zatrzymany w nocy przez milicję: co robi na ulicy tak późno? Wyjaśnił, że studiuje astronomię i wraca z obserwatorium, na co milicjant zaciekawiony zapytał, czy widział przez teleskop twarze astronautów w okienkach rakiety? Dziś nawet dziecko wstydziłoby się zadać tak naiwne pytanie....

Maria Rybicka

Debaty Akademickie są wspólnym przedsięwzięciem UAM i UEP. Maja poruszać żywotne problemy współczesności, a zarazem być wzorem dyskusji wyważonej i merytorycznej, czyli akademickiej w najlepszym tego słowa znaczeniu. Następną debatę – 6 kwietnia. Wstęp wolny.

Chęć kierowania uczelnią od października 2020 roku wyrazili: prorektor ds. studenckich prof. dr hab. Bogumiła Kaniewska oraz prorektor kierujący Szkołą Dokorską UAM, prof. dr hab. Ryszard Naskręcki. W poniedziałek 9 marca złożyli w Radzie Uczelni wymagane dokumenty.

Okres wyborczy na UAM wchodzi w decydującą fazę. Pytanie: KTO, pozostaje otwarte.

Odpowiedź na nie zależy od Państwa przedstawicieli w Kolegium Elektorów Uniwersytetu. To oni zdecydują o tym, kto w najbliższych czterech latach będzie przewodził naszej akademickiej społeczności.

Poprosiliśmy naukowców o odpowiedź na pytanie, jaki powinien być rektor kolejnej kadencji?

Jak sprostać zadaniom związanym z realizacją programów uczelni badawczej i uniwersytetu europejskiego?

PO PIERWSZE: SKUTECZNE ZARZĄDZANIE



Wielokontekstowe przemiany społeczno-kulturowe, specyfika jakościowo nowych przekształceń w relacjach pomiędzy globalnością a lokalnością, społeczeństwem a podmiotem, instytucją a jednostką, oraz powiązań między nimi, nie pozostaje bez znaczenia dla jakości rozważań na temat misji i posłannictwa uniwersytetu jako instytucji szczególnej.

Prof. dr hab. Agnieszka Cybal-Michalska
Dziekan Wydziału Studiów Edukacyjnych UAM

Wartości debaty na wyróżniony temat świadczy fakt, że nie jest ona wolna od ożywionego oglądu wielości podejść na temat aktualnej kondycji i przyszłości uniwersytetu. Źródłem debaty na ten temat są zmiany w otoczeniu prawnym szkolnictwa wyższego, oczekiwania wspólnot akademickich i potrzeby „zgłaszane” przez (globalizujące się) społeczeństwo.

Rektor na dzisiejsze czasy powinien mieć poczucie służby uniwersytetowi, mieć wizję jego rozwoju oraz odwagę w jej urzeczywistnianiu. Odpowiedzialności osoby pełniącej funkcję rektora upatruję w kontynuacji dotychczasowych działań świadczących o: aktywnej roli uniwersytetu, dbałości o jego wizerunek i zwróceniu się ku budowaniu dobrej marki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza jako partnera współtworzącego Uniwersytet Europejski (EPICUR) i uczelni badawczej.

W tym sensie o doniosłości naszej Almae Matris w drugim stuleciu naszej pięknej historii będą świadczyły starania rektora na rzecz rzetelności prowadzenia badań naukowych na światowym poziomie, dbałość o najwyższą jakość kształcenia przyszłych elit, pomnażanie dobra akademickiego, szkół dziedzinowych, wydziałów i rozwijanych dyscyplin, zachowanie równowagi pomiędzy jednostkami nowej struktury wewnątrzuczelnianej, otwartość na otoczenie oraz profesjonalne zarządzanie sprzyjające umacnianiu dojrzałej uniwersyteckiej demokracji i kolegialnej samorządności.

Rektor jako *primus inter pares*, powinien mieć wpływ na procesy tożsamościowe środowiska akademickiego. Prospołeczność w strategicznym zarządzaniu uczelnią można uznać za główną oś narracji budowania przyszłości uniwersytetu. Postawione zadanie wymaga od rektora koncentracji na wspólnocie akademickiej, jej potencjale i oczekiwaniach. Rektorowaniu

powinna zawsze towarzyszyć odpowiedzialność, troska o dobro całej społeczności akademickiej, podporządkowanie swoich działań normom etycznym, jak również stanie na straży, aby działania wszystkich środowisk tworzących wspólnotę uniwersytetu oparte były na akademickim zestawie wartości i norm współzycia społecznego.

Realizacja Trzeciej Misji pozwala na ujmowanie społecznej odpowiedzialności uniwersytetu w kategoriach strategicznego procesu zarządzania nią. Wizja rozwoju uniwersytetu odnosząca się do długiego horyzontu czasowego powinna odzwierciedlać oczekiwania wspólnoty Uniwersytetu i jego społecznego otoczenia. Tym samym pełnienie funkcji rektorskiej wiąże się ze świadomością, z którymi podmiotami uniwersytet powinien posiadać bezpośrednio (ale też pośrednio) relacyjny charakter. Wskazuję tym samym na dualny charakter zobowiązań uniwersytetu wobec otoczenia wewnętrznego (kadra nauczycieli akademickich, sektor pracowników administracyjnych, wspólnota doktorantów i studentów) oraz zewnętrznego (organa doradcze lub nadzorcze funkcjonujące w otoczeniu prawnym szkolnictwa wyższego, struktury: KRUP i KRASP, organa władz centralnych, regionalnych i lokalnych, kandydaci na studia, absolwenci uczelni, społeczność regionalna, pracodawcy, uczelnie wyższe krajowe i zagraniczne).

Sprawowanie władzy rektorskiej świadczy wówczas o spójności i ciągłości wspólnoty akademickiej, jej rozwoju na arenie krajowej i międzynarodowej (pozostawiając coraz wyraźniejszy ślad obecności w światowych rankingach) oraz możliwości jej współdziałania z otoczeniem zewnętrznym.

Skuteczne zarządzanie jest najważniejszym procesem w każdej instytucji, a doświadczenie w pełnieniu funkcji zarządczych obok wysokiej kultury osobistej jest elementem kluczowym, jeśli mamy – jako uniwersytet – odnieść kolejne sukcesy.

LICENCE TO DREAM



Prof. dr hab. Przemysław Wojtaszek
Dziekan Wydziału Biologii UAM

Prośba redakcji „Życia Uniwersyteckiego” o opinię, jaki powinien być rektor nowej kadencji wobec wyzwań czasu obecnego, dotarła do mnie w czasie, gdy zastanawiałem się nad krótkim tekstem, który roboczo nosił nazwę „Pytania na Nowy Rok”. Spojrzenie w ogłoszony niedawno kalendarz wyborczy UAM (piszę ten tekst pod koniec stycznia) uświadomiło mi jednak, że przynajmniej część odpowiedzi na moje pytania wkrótce będzie znana, czytelnicy tego tekstu za kilka tygodni będą wiedzieć to, czego ja mogę się teraz jedynie domyślać, zatem w tym momencie jest jedynie czas i miejsce na bondowską „Licencję na marzenia”.

„...ale kto istotnie w zdobywaniu i głoszeniu prawdy obiektywnej widzi cel życia, kto istotnie jest, jak to się mówi, człowiekiem nauki, uczonym w najpełniejszym i najpiękniejszym tego wyrazu znaczeniu, ten potrafi być głuchym na podszepty różnych ambicji i obronić się pokusie odgrywania jakiegokolwiek roli tam, gdzie wcale nie chodzi o prawdę, lecz o władzę, o wpływy, o godności, o zaszczyty i tytuły albo po prostu o pieniądze.”

Kazimierz Twardowski: O dostojństwie Uniwersytetu

Nim kilka słów o przyszłym rektorze, czas przyjrzeć się sytuacji, w jakiej znajduje się nauka, szkolnictwo wyższe i jakie jest miejsce UAM na tej mapie. Oczywiście, jest to spojrzenie dziekana, który, choć bardzo zainteresowany sprawami ogólnymi, ma perspektywę spojrzenia skoncentrowaną na najważniejszym elemencie układanki – na wydziale, jedynym miejscu, w którym społeczność akademicka realnie prowadzi badania i kształtuje studentów i doktorantów. Otóż, najkrócej ujmując, w rok 2020 weszliśmy poturbowani zewnątrz i rozdarci wewnątrz. Wzorcowo dyskutowana ustawa 2.0 wprowadzana jest w iście szalonym tempie – nie ma czasu na namysł, na dyskusję, na wspólne poszukiwanie najlepszych rozwiązań. Wygląda to tak, jakby wszyscy wokół zapomnieli, że zmianę należy nie tylko zaplanować, ale również zarządzać jej przebiegiem. Społeczności uczelniane są porozbijane, dezorientowane, skłócone. Nowy system ewaluacji – apoteoza punktozy – miesza ocenę instytucji z oceną poszczególnych nauczycieli akademickich i już teraz uruchamia bardzo szkodliwe zachowania, które w żaden sposób nie prowadzą do poprawy jakości badań naukowych, lecz do kolejnej formy „naukowego” szachrajstwa.

Tak szczególna sytuacja wymaga wyjątkowej postaci. Jak słusznie zauważył Karol Tarnowski: „Naturalnie, jak zawsze, instytucje stoją (i upadają) swoimi indywidualnymi przedstawicielami, którzy zawsze są o s o b i ś c i e odpowiedzialni za faktyczny wzrost lub kryzys danej instytucji.” Marzy mi się zatem rektor, który podąży za myślą Monteskiusza: „Kto chce rządzić ludźmi, nie powinien gnać ich przed sobą, lecz

sprawić, by podążali za nim” i zaoferuje nam porywającą wizję strategiczną, którą będzie się chciało realizować.

Ponad rok temu, w tekście dla „Forum Akademickiego”, opisując ówczesną sytuację posłużyłem się analogią ogrodu. Wracam do niej i teraz. Otóż jako miłośnik i praktyk tych zielonych oaz spokoju i odpoczynku, jestem zdecydowanym zwolennikiem ogrodów wiejskich czy angielskich. Ogrodów, w których drzewa są strukturalnym „repozytorium pamięci” o historii ogrodu, o jego rozwoju, blaskach i cieniach. Cenię ich naturalne kształty, jedynie czasem skorygowane, nie lubię wydumanych form kształtowanych przez człowieka. Marzy mi się, że nawet w obecnej sytuacji prawnej nasze uczelniane drzewo może być naturalnie piękne. Cieszyłbym się bardzo, gdybyśmy jako uczelnia porzucili ciągoty do drastycznych cięć chirurgicznych. Dominacja wierzchołkowa najlepiej funkcjonuje w drzewach o pięknej, rozłożystej koronie.

Patrząc na drzewa zwykle zapominamy, że to nie tylko dostojna żywa architektura najwyższej klasy. To również niewidoczny świat korzeni, a przede wszystkim krwioobieg informacji i wszelakich niezbędnych życiu składników. W zdrowym drzewie wszystkie jego części znakomicie ze sobą współpracują i są sobie wzajemnie absolutnie niezbędne. Jestem przekonany, że jedną z istotniejszych bolączek polskich drzew-uczelni jest, mimo przeróżnych deklaracji, rozłączne traktowanie badań, kształcenia i administracji. Marzy mi się, że nasz stuletni poznański dąb będzie znakomitym przykładem, że da się inaczej, że wyjeżdżając z naszego „ogrodu”, badacze będą we wspomnieniach unosili to samo wrażenie, z którym my powracamy z zagranicy – „niewidzialności” absolutnie niezbędnej administracji przy jej równoczesnej niezwyklej sprawności w załatwianiu wszelkich spraw organizacyjnych.

Na zakończenie chciałbym przyszłemu rektorowi zadekować słowa Lionela Terraya, wybitnego francuskiego alpinisty; słowa, które od pewnego czasu przekazuję absolwentom Wydziału Biologii, opuszczającym mury uniwersytetu: „O, nie błagajcie o łaskę łatwego życia! Módlcie się o to, by stać się ludźmi jeszcze silniejszymi. Nie proście o to, by obowiązki wasze były proporcjonalne do waszych sił! Módlcie się raczej o to, byście potrafili znaleźć w sobie siły na miarę swoich obowiązków.

PRIORYTETY MOJEGO REKTORA...



Prof. dr hab. Waldemar
Kuligowski

Choć totemicznym przodkiem tego plemienia jest poeta–prorok, to siedziba głównego wodza, a także miejsce narad, znajduje się tuż przy murach dawnego banku. Ciekawy to paradoks! Trzeba dodać, że siedziba wodza nie jest łatwo dostępna. By się do niej dostać, trzeba otrzymać specjalne zaproszenie. Zwykle wiąże się ono z jakąś celebracją albo z naradą (starsi rozmówcy twierdzą, że w dawnych czasach wodza pilnowała straż). Najpierw trzeba pokonać długi korytarz, w całości wyłożony dywanem. To wyraźny sygnał, że nie powinno się tam wkraczać byle jak, prosto z ulicy, z jej brudem. Po jednej stronie korytarza są pokoje wodzów pomocniczych. Ich funkcja – zwłaszcza gdy drzwi do nich są otwarte – polega na dyscyplinującym spojrzeniu samych wodzów bądź ich asystentów. Na końcu korytarza znajdują się naścienne wieszaki. Niepisany nakaz każe z nich korzystać.

Dywan, spojrzenia i wieszak powodują, że osoba składająca wizytę głównemu wodzowi poddaje się zarówno symbolicznemu oczyszczaniu, jak i realnej kontroli. Towarzyszące temu stanowi napięcie próbuje się następnie rozładowywać przez zwyczajowy poczęstunek w postaci napoju i drobnych przekąsek. Efekt upodrzedzenia jednak nie znika – po wkroczeniu do wnętrza wodzowskiej siedziby naszym oczom ukazuje się bowiem szereg podobizn wodzów–przodków, co przypomina osmolone głowy pod powałami papuaskich domów. Mimo regaliów w postaci berła, pierścienia, naszyjnika, purpurowego biretu i peleryny z gronostajowymi obszyciami nie są oni odpowiednikami pozbawionych władzy „wodzów w lamparcich skórach”, jakich u Nuerów opisywał onegdaj Edward E. Evans–Pritchard. Mamy tu raczej do czynienia ze znanymi z Melanezji *bikmanami*. Ich władza nie jest dziedziczna, ale wypływa z biegłości w nawiązywaniu relacji społecznych oraz zdolności do gromadzenia dóbr, takich jak muszle, świnie czy pochrzyn. Dzięki zdobytemu autorytetowi *bikman* angażuje się w redystrybucję dóbr i przywilejów oraz opłacanie cu-

dzych powinności, jego zwolennicy natomiast czerpią zyski z inwestowania w jego rosnące znaczenie...

Tyle etnograficznej ironii. Jakiego rektora potrzebuje nasza uczelnia w tym szczególnym momencie, definiowanym przez wdrażanie reformy Gowina, drugą kadencję rządów PiS, kryzys klimatyczny i mający na horyzoncie kryzys ekonomiczny? Raczej nie *bikmana*. Zdecydowanie nie potrzebujemy osoby, która kontrolę nad uniwersytetem wydrze z rąk naukowców i przeorientuje UAM na cele wygodne dla kapitalizmu. Bo doskonałość naukowa nie oznacza skuteczności w pozyskiwaniu grantów. Bo kształcenie absolwentów nie może być postrzegane jako hodowla planktonu dla rynku pracy. Bo panosząca się punktoza pomija społeczne zadania uniwersytetu, takie jak budowanie debaty publicznej, komentowanie kluczowych problemów, publikowanie w opiniotwórczych mediach. Jeśli zrezygnujemy z tych zadań, ostatecznie już zastąpią nas na tych polach inni. Zresztą, władza centralna już przestała wierzyć naukowcom.

Potrzebujemy osoby, której priorytetem będzie kierowanie uczelnią zaangażowaną społecznie, budującą sieci relacji, współczującą, a nawet „czułą”, by użyć słowa z wykładu noblowskiego Olgi Tokarczuk. Osoby, która otworzy naukowy kapitał UAM dla wszystkich zainteresowanych, choćby poprzez udostępnienie bibliotek wydziałów mieszkańcom sąsiadujących z nimi dzielnic. Która będzie finansowo premiować nie tylko liderów w kolekcjonowaniu „gowinków”, ale także badaczy działających na rzecz społeczności lokalnych, grup wykluczonych, poszkodowanych, uchodźców. Która zadba o to, by dachy uniwersyteckich budynków pokryły się panelami fotowoltaicznymi. Która anachroniczne już „wielkie grillowanie” zastąpi, na przykład, „wielkim gotowaniem” – także dla potrzebujących.

100 lat temu UAM służył społeczeństwu polskiemu, jego stabilizacji i rozwojowi. Obecnie jego priorytetem winno się stać działanie na rzecz społeczeństwa obywatelskiego oraz jego potrzeb. Uniwersytet odpowiedzialny, promujący społeczny transfer wiedzy, zaangażowany i wspierający innowacje społeczne – tak widzę priorytety nowej osoby na stanowisku rektora. Dzięki temu UAM ma szansę stać się uczelnią, jakiej potrzebują studentki i studenci, pracowniczki i pracownicy, absolwentki i absolwenci, ale także lokalna społeczność, kultura oraz środowisko.

*Potrzebujemy osoby, której
priorytetem będzie kierowanie uczelnią
zaangażowaną społecznie,
budującą sieci relacji, współczującą,
a nawet „czułą”, by użyć słowa
z wykładu noblowskiego Olgi Tokarczuk*

NIE PODCINAĆ SKRZYDEŁ, NIE WYRYWAĆ PIÓR...



Na proces wyboru rektora UAM na kadencję 2020–2024 patrzę z perspektywy największej filii uczelni – Wydziału Pedagogiczno–Artystycznego w Kaliszu. Mam także, nieco może staroświeckie, humboldtowskie przekonanie, że uniwersytet to jedność nauki i dydaktyki. Sądzę więc, biorąc obie te przesłanki, iż rozwiązaniem idealnym byłaby równowaga badawczo–edukacyjna i zrównoważony – przy zachowaniu wszelkich proporcji, związanych z potencjałem kadrowym i liczbą studentów – rozwój placówek poznańskich oraz znajdujących się poza siedzibą UAM.

**Prof. UAM dr hab. Piotr Łuszczkiewicz
Dziekan Wydziału
Pedagogiczno–Artystycznego UAM
w Kaliszu**

B rzmi to poniekąd stereotypowo, ale uważam, że nie należy bać się powtarzania oczywistości, gdyż komunały bywają często zaskakująco prawdziwe. Doceniam wielkie osiągnięcie naszego uniwersytetu – uzyskanie statusu uczelni badawczej. Wzrost dotacji na pewno przełoży się na jakość badań oraz przyniesie wymierne sukcesy naukowe. Podobnie cieszę się z przystąpienia UAM do sieci EPICUR, wiążącej cenną współpracą świetne uczelnie europejskie. Tu nawet chyba jeszcze czytelniej odnajduję miejsce mojego wydziału w tym znakomitym projekcie, chroniącym mniejsze gospodarstwa językowe Europy, a jednocześnie włączającym je w międzynarodową wymianę ludzi i myśli.

Zasadniczą kwestią pozostaje jednak dla mnie świadomość wagi obecności uniwersytetu w średniej wielkości miastach regionu: Kaliszu, Gnieźnie, Pile czy – bardziej oddalonych, ale istotnych jako pomost międzynarodowy – Słubicach. Poznańskiej Uczelni są potrzebne te miasta, ona sama zaś jest intelektualnym i artystycznym tlenem dla wspomnianych ośrodków. Nie ma również lepszej reklamy dla jednostki, która walczy o rozpoznawalność poza stolicą Wielkopolski niż dobre filie, pełniące rolę rozsądników nauki, edukacji, kultury i sztuki. Z takiej symbiozy rodzą się sprawy doniosłe dla życia społeczności lokalnych, których beneficjentem staje się również środowisko poznańskie, dyskontując powracające dobro tak pomyślanej współpracy.

Filie są żywymi banerami, przypominającymi ich mieszkańcom o znaczeniu znakomitego uniwersytetu. Przyciągają do siebie, przyciągają zarazem do poznańskiej siedziby, pokazują drogowskaz kontynuowania edukacji lub wręcz pierwszego miejsca jej początku. Zaniedbując filie uczelnia może nie tyle podcinać sobie skrzydła – trzymajmy się wskazanych na początku proporcji – ile wrywa sobie pióra. Wiedzieli to doskonale rektorzy, których pamiętam z okresu mojej pracy na UAM: Jerzy Fedorowski, Stefan Jurga, Stanisław Lorenc, Bronisław Marciniak i obecny rektor, Andrzej Lesicki. Niczego więcej nie pragnę w tej materii, jak kontynuowania i wspierania ich życzliwej dla filii koncepcji rozwoju.

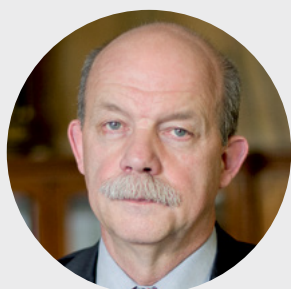
Kalisz ma bardzo długie tradycje wyższego szkolnictwa; już w okresie Przemysława II wysyłał młodzież studencką

do Padwy i Bolonii, a za króla Władysława Jagiełły działała tu kolonia akademicka pod patronatem Akademii Krakowskiej. Rektorem wspomnianej Akademii był – za czasów Kazimierza Jagiellończyka – Mikołaj z Kalisza. Nawiasem mówiąc, pierwszym rektorem niedoszłego uniwersytetu poznańskiego miał zostać także kaliszzanin, Jan Onufry Gorczyzewski. Piszę o tym z przymrużeniem oka, niemniej mrużę je nie bez pewnej dumy. A tak zupełnie serio, nie wyobrażam sobie przyszłego rektora UAM, który zapomniałby o kaliskiej placówce, tak unikalnej, gdy chodzi o uprawianie sztuki i edukacji artystycznej, oraz tak silnie związanej z poznańskimi wydziałami w obszarze humanistyki i nauk społecznych.

Obecny rektor, profesor Andrzej Lesicki, o wydziale zlokalizowanym w obszarze nazywanym pięknie po łacinie *Polonia Maior Orientalis* (Wielkopolska Wschodnia) nie zapomniał. Nasze środowisko jest mu wdzięczne za godne miejsce filii w Kaliszu w nowym statucie UAM. Rozciągam tę wdzięczność także na prorektorów, dziekanów, parlament studentów i wszystkich członków Senatu, którzy wsparli nas w procesie legislacji. Będziemy się – najlepiej jak potrafimy – odwdzięczać. Natomiast elektorzy, potencjalnie wybrani z naszego środowiska, na pewno nie poprą kandydata, prezentującego pomysły ograniczające czy likwidatorskie wobec filii, nie tylko zresztą kaliskiej. To wszak całkowicie zrozumią.

Ktoś może powiedzieć, że moje spojrzenie jest podyktowane partykularyzmem. Owszem, do pewnego stopnia tak, jednak będę się upierał, że to wyjątkowo zdrowy dla całości partykularyzm. W tym sensie myślę również o konieczności zapewnienia istotnego udziału studentom i doktorantom w budowaniu nowej strategii UAM oraz w ogóle w przyszłym zarządzaniu uczelnią. Młodych ludzi, którzy będą za kilka lat najlepszymi ambasadorami naszej marki, trzeba jak najmocniej i jak najszybciej włączać w badania naukowe, w wytyczanie kierunków edukacji oraz w organizację skomplikowanej struktury uniwersyteckiej. To już chyba nie brzmi partykularnie.

SATRAPA I DEMOKRATA



Zbliżające się wybory nowych władz uniwersytetu skłaniają w sposób naturalny do zadania pytania – jakie cechy winien posiadać kolejny, trzydziesty drugi rektor naszej uczelni? Pewnie najprościej byłoby powołać się na stosowny artykuł prawa o szkolnictwie wyższym i nauce, lecz sformułowania tam zawarte na dobrą sprawę nie wnoszą niczego konkretnego, szczególnie jeśli chodzi o charakterystykę kandydata na rektora.

Prof. dr hab. Zbigniew Pilarczyk
Wydział Historii UAM

Przyznam, że od dłuższego czasu zastanawiam się na swoistym fenomenem, jakim jest tryb doboru kandydata na rektora uczelni. Szczególnie interesuje mnie czy kandydat ma jakiekolwiek przygotowanie do **jednoosobowego** (podkreślenie Z.P.) kierowania tak dużym i skomplikowanym organizmem, jakim bez wątpienia jest nasz uniwersytet. Współczesny uniwersytet to niezwykle skomplikowana machina, w której zbiegają się interesy różnych grup pracowników i studentów. To rzadko gdzie indziej spotykane skupisko wybitnych indywidualności, z których większość wymaga indywidualnego traktowania. I wszystkim tym, z woli elektorów, zarządza... amator. Jak bowiem inaczej nazwać profesora, który na cztery, a często osiem lat odrywa się od swojego laboratorium, biblioteki, pracowni, by zasiąść w gabinecie na pierwszym piętrze w Collegium Minus. Czy wyobrażacie sobie taką sytuację w jakimkolwiek przedsiębiorstwie czy korporacji? Co prawda wybór odbywa się w drodze konkursu. Elektorzy mają możliwość wyboru spośród kilku kandydatów, którzy prezentują w czasie kampanii wyborczej swoje programy. Wszystko się zgadza – dodam, że w wielu wypadkach kandydaci na tym etapie korzystają z usług firm specjalizujących się w działaniach tego typu. Zgadza się, ale przecież na końcu zwycięzca zo-

staje sam i to on podejmuje decyzje i za nie odpowiada. Ktoś może powiedzieć, że wpadłem w trochę minorowy ton. Może. Jest jednak pozytywna strona takiego systemu wyboru rektora, świadcząca o mądrości elektorów naszego uniwersytetu. Przejrzałem pod tym kątem galerię dotychczas panujących rektorów naszej uczelni i stwierdzam, że w ani jednym przypadku nie można jednoznacznie stwierdzić, że wybór był chybiony, a fakt, że wielu z nich wybie-rano na dwie kadencje świadczy o nich najlepiej. Mam oczywiście świadomość, że nie zawsze rektorzy byli wybierani, ale ta pozytywna opinia ich również dotyczy. Jubileusz uniwersytetu był dla mnie okazją do głębszego sięgnięcia do jego historii, w której rozdział poświęcony rektorom zajmuje swoje poczesne miejsce. Ich życiorysy, tak w części dotyczącej działalności naukowej jak i organizacyjnej, jest imponujący. Lektura ta jak i własne doświadczenia wskazują na bardzo ważny aspekt „rektorowania”. Jest nim poświęcenie się maksymalnie dla spraw uniwersytetu. Bezpowrotnie minęły czasy, które wspominają najstarsi pracownicy, w których rektor przychodził do rektoratu na kilka godzin w tygodniu. Dzisiaj zespół rektorski pracuje po kilkanaście godzin dziennie – taka jest konieczność. Szukając odpowiedzi na pytanie, jakim powinien być rektor UAM, sięgam do postaci założyciela i pierwszego rektora Uniwersytetu Poznańskiego, prof. Heliodora Święcickiego. Jego praca, zaangażowanie w tworzeniu pierwszej polskiej uczelni w Poznaniu nie tracą na aktualności w dniu dzisiejszym. Wtedy, jak i dzisiaj, chodziło o to, aby uniwersytet stał się uczelnią nowoczesną, tak w sensie prowadzonych tutaj badań naukowych, jak i dydaktyki czy wreszcie bazy lokalowej. Święcicki wiedział doskonale, że aby to stało się rzeczywistością, trzeba umiejętnie połączyć doświadczenie „starych” profesorów z zapalem „młodych” doktorów. Była to próba połączenia wody z ogniem, ale takim winien być nowoczesny uniwersytet, a rektor dzisiaj, tak jak w 1919 roku, winien zrobić wszystko, aby stworzyć warunki, w których niemożliwe staje się możliwe. Głębokie osobiste zaangażowanie, ale także mądra współpraca z najbliższym sobie zespołem prorektorów może być sposobem na odniesienie sukcesu.

Rektorem zatem winien być człowiek, który w sposób umiejętny połączy w sobie postawę satrapy i demokracji, ale czy jest to możliwe?

*Rektorem zatem winien być człowiek,
który w sposób umiejętny połączy
w sobie postawę satrapy i demokracji,
ale czy jest to możliwe?*

„BYĆ NARODOWI UŻYTECZNYM”



Dr Paweł Michał Owsiany,
dyrektor NI UAM w Pile

Wszystko wskazuje, że rektor UAM w kadencji 2020–2024 będzie się zajmował/a głównie dwiema ideami uniwersytetem europejskim i uczelnią badawczą. I słusznie – bo uniwersytet podjął ważne wyzwania i zobowiązania naukowo–badawcze. Ale czy jest coś jeszcze, za czym rektor uniwersytetu powinien podążać, albo coś, czego nie może zgubić?

Solidna praca organiczna dla Wielkopolski i Wielkopolan – to było, jest i powinno być cechą naszego uniwersytetu. Z perspektywy Piły, miejsca urodzenia księdza Stanisława Staszica – wybitnego męża stanu, prekursora wielu działań w nauce, edukacji, gospodarce, ale nadto społecznika – szczególnie wybrzmiewają jego słowa: „Być narodowi użytecznym”. Być „nie tylko sterem dla swojego pokolenia, lecz i pochodnią dla następnych”. W tych słowach jest pełen altruizm oddania siebie narodowi, bez nuty nacjonalizmu, czy egoizmu. W dzisiejszych czasach, gdy szaleje wir parametryzacji i punktacji, jednym z zagrożeń dla uniwersytetu wydaje się być spoglądanie niektórych wykładowców na swoją pracę i zaangażowanie przez pryzmat osiągania kolejnych etapów własnego rozwoju zawodowego. Takie spoglądanie na moją rolę na uniwersytecie może sprzyjać wzrostowi badawczości, ale niesie inne zagrożenia. W tym w realizacji dydaktyki, ale nadto w pełnieniu roli społecznej. Z niezwykłą uwagą wsłuchujemy się zawsze w głos rektorów uniwersytetu, potrafiących w trosce zająć stanowisko w sprawach ważnych społecznie. W ostatnim czasie – szczególnie ważny głos w sprawie zagrożeń funkcjonowania trójpodziału władzy w naszym kraju, czy w kwestiach związanych z konsekwencjami zmian klimatu i szeroko pojętej ekologii, co szczególnie cieszy – także w lokalnym odniesieniu. Prosimy, by rektor kadencji 2020–2024 nie zgubił tej roli „bycia społecznie użytecznym”.

Z punktu widzenia Piły, najmłodszej filii UAM, są jeszcze wyraźne inne potrzeby. Studenci, mieszkańcy, samorządy, firmy – nie tylko patrzą na uniwersytet jako na lidera wiedzy i umiejętności, ale oczekują od niego przede wszystkim szybkiej reakcji na potrzeby społeczne i gospodarcze. Te potrzeby związane są z dzisiejszym tempem „wskakiwania na falę”, tę konkretną, bo następna może się długo lub wcale nie pojawić. Uniwersytet czerpiąc z poznańskich zasobów, może szybko reagować zarówno na wyzwania dydaktyczno–edukacyjne, jak i na potrzeby praktyki gospodarczej. Tym samym istnieje potrzeba uruchamiania zarówno nowych (nietypowych), jak i replikacji poznańskich kierunków studiów w filiach. Ale jeszcze większe są oczekiwania, że uniwersytet będzie przynosić konkretną pomoc w funkcjonowaniu samorządów i gospodarki regionalnej. Pomoc uniwersytetu i wspólne projekty z tymi podmiotami – są najlepszą reklamą; pokazują praktyczne zastosowanie uniwersyteckiej wiedzy płynącej z badań.

Pani rektor/Panie rektorze kadencji 2020–2024, głód tych potrzeb w filiach jest wielki.

O ROSNĄCEJ ROLI PRESTIŻOWYCH PUBLIKACJI

Dlaczego publikacje w [globalnie] najlepszych czasopismach liczą się coraz bardziej, publikacje w czasopismach nieco gorszych liczą się wyraźnie mniej, a w pozostałych – a więc globalnie nieindeksowanych – nie liczą się niemal wcale?

Zrozumienie logiki tych procesów staje się istotne w kontekście reform szkolnictwa wyższego, a zwłaszcza w kontekście nowej ewaluacji osiągnięć naukowych. Publikacje determinują hierarchię w nauce na poziomie jednostek i zespołów badawczych, wydziałów, całych uczelni i krajów. To one decydują o awansach, stopniach naukowych i dostępie do konkurencyjnego finansowania badań. Decydują również o dostępie do sieci globalnej współpracy naukowej. Dzieje się tak przede wszystkim w naukach ścisłych oraz w części nauk społecznych.

Publikacje w najlepszych czasopismach przynoszą prestiż naukowcom i ich uczelniom. W różnej formie, pośrednio i bezpośrednio, poprzez nagrody, stypendia, dodatki do pensji czy zmniejszanie obciążeń dydaktycznych, uczelnie okazują instytucjonalną wdzięczność naukowcom, którzy maksymalizują prestiż. Prestiż zdobywany dzięki publikacjom łączy się nieodmiennie z selektywnością – i silnie stratyfikuje kadrę akademicką, grupy badawcze i uczelnie.

W interesie organizacji sponsorujących badania naukowe zawsze leży uproszczony system oceny dorobku zespołów badawczych, wydziałów i instytucji, który nie wymaga czytania wszystkich powstających publikacji. Kompleksową ocenę osiągnięć naukowych, pomagającą w dystrybucji instytucjonalnych środków na badania, trzeba upraszczać w związku z ogromną liczbą powstających publikacji. Ocena ekspercka nie może dotyczyć ani 51000 artykułów publikowanych rocznie w Polsce, ani 1700 publikowanych przez UAM (wg bazy Scopus w 2018). Ocenę ponad 400000 polskich publikacji z ostatniej dekady trzeba upraszczać w takim sam sposób, w jaki robią to inne systemy zachodnioeuropejskie, czyli odwołując się do przejrzystej hierarchii czasopism.

Nieprzypadkowo liczba publikacji w górnych 10 procentach najlepszych czasopism w bazie Scopus jest podstawowym wskaźnikiem wykorzystywanym do oceny dziesięciu „uczelni badawczych” w programie IDUB. To globalna, uśredniona, przejrzysta i wspólna naukowemu światu metryka jakości, która bierze się wprost z liczby cytowań (otrzymanych w okre-



FOT. PIOTR SKÓRNICKI

Prof. Marek Kwiek, dyrektor Centrum Studiów nad Polityką Publiczną UAM, wiceprzewodniczący projektu IDUB („Uczelnia Badawcza”).

sie trzech lat). Ranga czasopism w naukach przyrodniczych wyrażona w percentylach według dyscyplin naukowych w bazie Scopus jest mniej kontrowersyjna niż ich ranga w rozporządzeniu MNiSW wyrażona w punktach i niż współczynnik wpływu (IF) wykorzystywany w bazie Web of Science.

Podział naukowców według rangi czasopism, w których publikują, był zawsze częścią szerszego etosu nauki: konkurencja w nauce to również konkurencja o publikowanie wyników badań w najlepszym możliwym miejscu. Na górze w hierarchii prestiżu robi się zatem tłok – a na dole jest coraz luźniej... Cały naukowy świat chce publikować w prestiżowych czasopismach, których liczba jest ograniczona – ponieważ reguły oceny naukowców i instytucji są do siebie wszędzie podobne. Wraz z trwającą od dekady dehermetyzacją polskiej nauki, czyli otwieraniem jej na globalne reguły uprawiania nauki, dominujący typ obiegu publikacyjnego coraz silniej określa ramy możliwości awansowych naukowców – i ramy możliwości finansowych wydziałów i uczelni.

Liczba naukowców chcących publikować w najlepszych miejscach rośnie, a kierunek zachodzących zmian jest czytelny: chętnych przybywa, więc możliwości relatywnie ubywa. Wartość rzadkiego dobra społecznego rośnie przez sam fakt, że inni nie mogą go łatwo osiągnąć. Miejsce wydania tekstu ma ogromne znaczenie dla osób, instytucji i krajów – podlegających ciągłym procedurom rankingowym i ewaluacyjnym.

Publikacje w coraz większym stopniu determinują nie tylko indywidualne możliwości prowadzenia badań – ale również finansowanie instytucjonalne i wydziałowe na uczelniach prowadzących intensywną działalność badawczą. Naukowcy publikujący na dużą skalę na wysokim poziomie generują środki na badania, a naukowcy publikujący na małą skalę i na niskim poziomie przyciągają niewielkie środki finansowe. Innymi słowy, poszukiwanie prestiżu na poziomie jednostkowym staje się ważne na poziomie instytucjonalnym, a poprzez krajowe i globalne rankingi – również na poziomie krajowym i międzynarodowym.

W pewnym uproszczeniu można stwierdzić, że rozwój nauki akademickiej opiera się na poszukiwaniu uznania przez na-

ukowców za ich odkrycia (znane dzięki prestiżowym publikacjom) – najlepiej w warunkach stałej konkurencji. Konkurencja jest żywiołem nauki (ale już niekoniecznie żywiołem szkolnictwa wyższego). Konkurencja dotyczy zatrudniania najzdolniejszych umysłów i oferowania im najlepszych warunków pracy po stronie instytucji, a po stronie naukowców – publikowania najszerzej znanych prac naukowych (i zdobywania prestiżowych grantów).

Kluczowym czynnikiem stratyfikującym wspólnotę naukową są badania: nic dzisiaj nie dzieli naukowców równie silnie. Z jednej strony nauka globalna to nauka otwartych na współpracę międzynarodową naukowców, ale z drugiej strony to zarazem nauka rosnących podziałów – opartych na wynikach i prestiżu (*Nature*, *Science*, *Cell* czy *Lancet*, a po stronie finansowania ERC w Europie, to oddzielna naukowa liga). Jeszcze nigdy najzdolniejsza młoda kadra nie miała w Europie tak dobrych możliwości funkcjonowania w nauce – ale zarazem trochę mniej zdolna młoda kadra nie funkcjonowała w tak trudnych warunkach.

Europejskie instytucje akademickie dysponują dzisiaj tymi samymi wskaźnikami pozwalającymi na ocenę osiągnięć naukowych swojej kadry. Następuje homogenizacja zasad rządzących ewaluacją dorobku naukowego. Tym samym ocena naukowców na podstawie publikacji powszechnie uznawanych za przełomowe i umieszczonych w globalnie prestiżowych czasopismach – staje się coraz istotniejsza. Odpowiada to instytucjom, sponsorom badań i (najczęściej) samym naukowcom. Dzieje się tak dlatego, że sukces instytucji zależy od sumy jednostkowych sukcesów zatrudnianych przez nie naukowców.

Krajowy system zachęt do umiędzynarodowienia obiegu publikacyjnego okazał się w ostatniej dekadzie nieskuteczny. System awansowy i zasady parametryzacji jednostek nie promowały publikacji w najlepszych czasopismach. Jednak biorąc pod uwagę rosnące uzależnienie sukcesu naukowców i ich instytucji od prestiżowych publikacji można oczekiwać, że rola najlepszych czasopism będzie w przyszłości radykalnie większa niż dzisiaj.

Marek Kwiek

NA TROPIE PIASTOWSKIEGO DNA

Już za kilka, kilkanaście miesięcy w zupełnie inny sposób spojrzymy na dynastię Piastów. Obiecujące wyniki badań mogą wprowadzić też wiele zamieszania do naszego obecnego postrzegania historii Polski i jej mieszkańców oraz skonfrontują dotychczasowe ustalenia historyków polskich i zagranicznych na temat tego „skąd nasz ród”. Dowiemy się również, czy Kazimierz Wielki był naprawdę potomkiem Bolesława Chrobrego, a może nawet jak wyglądali niektórzy książęta i królowie. A to dopiero przedsmak tego, co może zgotować nam archeogenomika, nowy interdyscyplinarny kierunek badawczy, łączący w sobie zaawansowane badania genomiczne, archeologiczne i historyczne.

Pierwsze ośrodki badawcze zajmujące się archeogenomiką powstały w Europie. Można do nich zaliczyć Poznańskie Centrum Archeogenomiki (PCA). Utworzono je w 2014 roku, a więc w tym samym czasie, gdy na Uniwersytecie Harwarda powołano do życia pierwsze w Stanach Zjednoczonych laboratorium archeogenomiczne. Poznańskie Centrum, współtworzone przez Instytut Chemii Bioorganicznej PAN oraz Wydziały Historii i Biologii UAM, od sześciu lat realizuje fascynujący projekt „Dynastia i społeczeństwo państwa Piastów w świetle integrowanych badań historycznych, antropologicznych i genomicznych”.

– Zbliżamy się do końca badań i atmosfera gęstnieje – mówi prof. Marek Figlerowicz, szef poznańskiego Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN, kierownik projektu, który razem z uniwersyteckimi naukowcami prowadzi badania. – Gdy je zaczęliśmy, nie zdawaliśmy sobie sprawy z wyzwania, jakie nas czekają. Także tych związanych z wielkimi oczekiwaniami opinii publicznej – bez przerwy zasypywani jesteśmy przeróżnymi pytaniami przez ludzi zainteresowanych historią. Niestety, na razie nie możemy na nie odpowiadać. W przypadku tych badań o wynikach będzie można szerzej dyskutować dopiero po ich opublikowaniu.

Atmosfera tajemniczości podsycą ciekawość. Tym bardziej, że badania archeogenomiczne są stosunkowo młodą dziedziną. Początkowo znanych było tylko kilkanaście genomów archaicznych. Dziś, również dzięki poznańskim naukowcom, ta liczba wydaje się śmiesznie mała, a przecież badania nie są łatwe, bo jeżeli genomikę porównać do czytania nowych książek to wówczas archeogenomika jawi się jako żmudny proces odczytywania zniszczonych i wyblakłych inkunabułów, które przeleżały w złych warunkach kilka tysięcy lat.

– To, co badamy, to historia biologiczna. Badamy zatem historię człowieka jako jednego z gatunków żyjących na Ziemi – opowiada prof. Figlerowicz. – W genomie każdej istoty żywej zapisane są nie tylko informacje o jej cechach fizycznych, ale także o jej historii. Dziś analizy archeogenomiczne pozwalają stwierdzić, jaki kolor oczu, karnację skóry czy kolor włosów miał człowiek żyjący przed tysiącami lat. Badając genomy wielu osobników możemy poznać historię całych populacji, określić szlaki ich migracji, stwierdzić, czy były zamknięte pod względem genetycznym, czy też mieszały się z innymi populacjami.

Kolejne zagadnienie to poznawanie historii linii rodowych i związana z nim szansa na zweryfikowanie naszych wyobrażeń, dotyczących na przykład Piastów.

Grant gwarantował finansowanie badań przez co najmniej pięć lat, ale dziś już wiadomo, że trzeba będzie ten okres wydłużyć, ponieważ wciąż pojawiają się nowe fakty, nowe okoliczności i nowe próbki. Nie może być inaczej, gdyż cele badań zostały zarysowane bardzo szeroko. Naukowcy starają się między innymi ustalić pochodzenie ludzi żyjących na terenie współczesnej Polski w czasach, gdy powstawało państwo Piastów. Odpowiedź na to pytanie powinny przynieść porównawcze analizy genomów osób zamieszkujących między Odrą a Wisłą na początku i końcu pierwszego tysiąclecia naszej ery. Dowiemy się, czy rzeczywiście miały miejsce wędrówki ludów i związana z nimi wymiana ludności germańskiej na słowiańską. Zagadnienie to od lat jest przedmiotem gorących sporów, często nie

*Dzięki zespołowym badaniom możemy
dowiedzieć się, jak bardzo mylił się
mistrz Matejko, malując słynny poczet
królów i książąt polskich*

tyłe merytorycznych, co o podłożu politycznym, społecznym czy narodowym.

Dzięki pracy zespołu, w skład którego oprócz mojego rozmówcy wchodzi między innymi prof. Kočka-Krenz z Wydziału Archeologii i dr Anna Juras z Wydziału Biologii, zyskamy również odpowiedź na pytania, skąd wywodziły się grupy tworzące państwo piastowskie – dynastia, elity państwowe i prosty lud.

Według prof. Marka Figlerowicza są trzy podstawowe hipotezy. Pierwsza zakłada, że wszystkie grupy tworzące państwo wywodziły się z terenów współczesnej Polski. Druga, że władca i lud byli stąd, ale elity, które pomagały władcy zarządzać państwem, zostały sprowadzone. Ostatnia podobna jest do sytuacji,



FOT. ADRIAN WYKOTA

Prof. Marek Figlerowicz, szef poznańskiego Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN, kierownik projektu, który razem z uniwersyteckimi naukowcami prowadzi badania

jaka miała miejsce na Rusi Kijowskiej. Przyszedł silny człowiek z zewnątrz wraz z braćmi Wikingami, podporządkował sobie lud i założył dynastię.

Badania piastowskich pochówków, porównywanie genomów i ich opis trwają. I nie są łatwe. Gdy zaczynano prace, lista zidentyfikowanych pochówków piastowskich obejmowała około 500 miejsc. – Odwiedzaliśmy miejsce po miejscu i zwykle okazywało się, że pod wskazanym „adresem” nie ma szczątków, że groby były rabowane lub szczątki zostały zmieszane z innymi, niepiastowskimi. Gdzie indziej mieliśmy do czynienia z sarkofagami, z których szczątki zostały przeniesione do metalowych pojemników – wspomina prof. Figlerowicz. – Potem stwierdziliśmy, że te „pieczołowicie” przeniesione szczątki to mieszanina wszystkiego. Zamiast kobiet są mężczyźni, a gdzie indziej na odwrót. W jednym z grobów książąt piastowskich zamiast jednego szkieletu znaleźliśmy dwa itp. Takich zdarzeń było mnóstwo. Ostatecznie udało nam się odnaleźć szczątki około trzydziestu w miarę „pewnych” przedstawicieli dynastii. Co ważne, pochodzą one z całego okresu istnienia dynastii piastowskiej, poczynając od pierwszej połowy X wieku aż po wiek XVII. Teraz, porównując chromosomy Y, sprawdzimy, czy u wszystkich Piastów są one takie same.

Szereg wstępnych obserwacji wydaje się świadczyć, że nie zawsze tak było. Jedna z linii dynastycznych Piastów mogła zostać w pewnym miejscu zakłócona, czyli syn będący oficjalnie potomkiem władcy w rzeczywistości mógł mieć innego ojca. Kiedy się to zdarzyło? Zapewne zdołamy to ustalić. Niekoniecznie musi to świadczyć o niewierności żony. Trzeba bowiem pamiętać, że były to czasy pełne przemocy; najazdy, rabunki i gwałty nie były czymś nadzwyczajnym.

Na pytanie, czy może się okazać, że 1370 rok nie był prawdziwym końcem królewskiej dynastii Piastów, bo np. skończyła się ona na Bolesławie Krzywoustym, profesor Figlerowicz odpowiada: – Jak na razie nic na to nie wskazuje, a wszelkie wypowiedzi na ten temat to czyste spekulacje. Dodatkowo warto tu zauważyć, że określenie dynastia piastowska odnosi się do wszystkich królów i książąt z tego rodu. Trwała ona zatem nie do 1370 roku, a do drugiej połowy XVII wieku. Za ostatniego męskiego przedstawiciela dynastii Piastów uchodzi Jerzy Wilhelm, książę brzesko-lęknicki zmarły 21 listopada 1675 w Brzegu. Aby poznać pochodzenie Piastów, najpierw musimy mieć pewność,

że w obrębie linii dynastycznej ojcostwo prawne było zawsze tożsame z ojcostwem biologicznym. Życie uczy, że nie zawsze tak jest. Z tego względu nie da się powiedzieć nic o Piastach, badając tylko pojedyncze groby. Niektórzy mówią, że przecież na Wawelu leżą Kazimierz Wielki i Władysław Łokietek. Możecie ich zbadać i powiedzieć: tacy są Piastowie. Tak jednak nie jest. Żeby to stwierdzić, trzeba przesłedzić próbki od Mieszka I i Chrobrego aż do ostatnich Piastów i pokazać, że cały czas mieli oni ten sam, dziedziczony tylko przez mężczyzn, chromosom Y.

Obecnie za jedną z dwóch najstarszych relikwii piastowskich uważana jest kostka, należąca według przekazów do Bolesława Chrobrego (druga to niewielki fragment jego czaszki). W przypadku DNA wyizolowanego z kostki trudno jednak mówić o wzorcu, gdyż jest go bardzo mało, a dodatkowo jest on w znacznym stopniu zdegradowany. – Gdyby jednak okazało się, że fragmenty chromosomu Y pochodzące z tej kostki są identyczne z tymi znalezionymi u Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego oraz większości późniejszych przedstawicieli dynastii Piastów, można by z dużym prawdopodobieństwem uznać, że w relikwiarzu faktycznie zdeponowano szczątki pierwszego króla Polski – wyjaśnia profesor Figlerowicz. – Na podstawie kilku najpewniejszych próbek stworzymy referencyjną sekwencję piastowskiego chromosomu Y. Dzięki niej będziemy mogli przywracać tożsamość innym przedstawicielom dynastii, których szczątki zostały przeniesione lub wymieszane z innymi pozostałościami.

To samo może dotyczyć wizerunków władców piastowskich. Dzięki zespołowym badaniom możemy dowiedzieć się, jak bardzo mylił się mistrz Matejko, malując słynny poczet królów i książąt polskich. Wygląd twarzy niektórych Piastów będzie mógł być odtworzony na podstawie trójwymiarowych skanów najlepiej zachowanych czaszek. Wybrano kilka z nich. Czyje? To na razie tajemnica.

Podobnie jak tajemnicą jest odpowiedź na pytanie, czy Mieszko mógł być „potomkiem” Ragnara Lodbroka z filmowej sagi o Wikingach. Ale i tego się dowiemy. Jeśli ustalona zostanie referencyjna sekwencja piastowskiego chromosomu Y, wówczas z pewnością zbadamy jej położenie na genetycznej mapie Europy i wtedy okaże się, czy Piast był nasz czy obcy. A jak był Wikingiem, to mamy murowany kolejny sezon filmowej sagi.

Krzysztof Smura



FOT. 3X ADRIAN WYKOTA

KRÓLEWSKIE LABORATORIUM UAM

Nie powinno nas zdziwić, gdyby ktoś zaryzykował i nadał laboratorium kopalnego DNA na Wydziale Biologii status Królewskiego Laboratorium UAM. To tutaj między innymi znajdują się pobrane do badań szczątki władców piastowskiej dynastii. Może są niezbyt okazałe, ale są. To pewnik. O tym, jak przebiegają badania mające przywrócić tożsamość polskim Piastom, z szefową laboratorium, **dr Anną Juras**, rozmawia Krzysztof Smura.

Lwia część projektu „Dynastia i społeczeństwo państwa Piastów w świetle zintegrowanych badań historycznych, antropologicznych i genomicznych” realizowana jest na Wydziale Biologii?

Tak, ale nie zapominajmy o naszych partnerach, choćby z Wydziału Historii. Gdyby nie praca profesor Koćki-Krenz i prof. Józefa Dobosza nie wiedzielibyśmy od czego zacząć. Ogromna wiedza, sprawy organizacyjne, typowanie miejsc, uzyskiwanie pozwoleń to tylko część tego, co zrobił dla nas zespół historyków. To ich praca dała nam podstawy do tego, by ruszyć w głąb dziejów.

Ruszyliście więc w Polskę w poszukiwaniu piastowskich szczątków. Gdzie byliście i jak wyglądały przygotowania do pobrania materiału badawczego?

Byliśmy w Brzegu, w poszukiwaniu Piastów śląskich, w Warszawie, szukając ich mazowieckiego odpowiednika. Był też Płock, Lubiąż i kilka innych miejsc. Przygotowanie do badań zawsze wymaga od nas spełnienia wielu kryteriów, ale przede wszystkim liczy się sterylność. To niezwykle istotne w przypadku kopalnego DNA, aby nie zanieczyścić go choćby własnym DNA. Zakładamy kombinezony, podwójne rękawice (jeśli zmieniamy rękawice, to nie odsłaniamy wówczas części naszego

ciała), maseczki. Wszystko po to, by ochronić badane szczątki, ale i siebie przed naprawdę niekorzystnymi warunkami, jakie mogą panować w kościelnych kryptach – grzybami, pleśniami. W trakcie badań spotykaliśmy różne zachowany materiał i do tego mocno przemieszany. Tak było choćby w Brzegu, gdzie pochówki zostały odkryte 20 lat wcześniej przez antropologów. Okazało się, że w urnach zamiast posegregowanego materiału zastaliśmy przemieszane szczątki mężczyzn i kobiet.

Gdzie w takim razie szczątki były najlepiej zachowane?

Chyba w Warszawie, ponieważ nie mieliśmy do czynienia z typową kryptą jak w Brzegu czy Lubiążu. Było tam sucho. Tym niemniej materiału badawczego było niewiele. Najwięcej mieliśmy go w Płocku, chociaż i tam był mocno wymieszany. Nie dało się dopasować np. części poskraniálních do czaszek i zebrać całych szkieletów. Były podpisy, ale pytanie czy można im ufać? Mając taki dylemat wykonano datowanie radiowęglowe czyli analizę C14. Przy poznawaniu ostatecznych wyników będą brane pod uwagę wszystkie składowe badawcze.

Badaliście też kosteczkę palikową Bolesława Chrobrego?

Robiłam to osobiście. Nawiercałam kość śródstopia należącą według podania do Bolesława Chrobrego. Na dokładne wyniki

ności oczyszczony materiał jest nawiercany. Przykładowo, zęby nawiercamy od strony korzenia, a proszek powstały w czasie nawiercania jest zbierany do sterylnych probówek. W przypadku części skalistych kości skroniowych odcinamy ich wierzchnią warstwę odsłaniając kanały półkoliste i ślimaka, a następnie nawiercamy je, również zbierając proszek powstały w trakcie pracy. Następnie z proszku kostnego izolujemy DNA. Robimy więc tzw. ekstrakcję DNA oddziaływując między innymi proteinazą k i moczniakiem. Trwa to od 24 do 48 godzin w temperaturze około 56 stopni, a całość przebiega w termomikserze. Po tym czasie proszek kostny powinien się całkowicie rozpuścić.

Niekoniecznie. Mamy tam nadal mnóstwo zanieczyszczeń, resztek komórkowych, białek i dalsze etapy służą temu, by oczyścić to DNA i ostatecznie przygotować tzw. biblioteki genomowe. Zbieramy cały DNA danego osobnika. Oczywiście może to być ten właściwy endogenny materiał genetyczny, charakterystyczny dla danego osobnika, ale jest tam również mnóstwo DNA bakterii. Często stanowią bardzo dużą frakcję, bo aż 90 procent. Bywają próby, w których zachowuje się nawet do 70 procent endogennego DNA, a bywa, że nie ma nic.

Chromosom Y udało się wyciągnąć dla pewnego ciągu pochówków, ale odpowiedź na pytanie, czy to jest właściwa linia piastowska czy jej odnoga, pozostaje otwarta. Obecnie nadal pracujemy nad dynastią piastowską. Testujemy inne metody, by wyciągnąć więcej DNA i na pewno archeolodzy wybiorą się jeszcze choćby do Legnicy.

Dzięki stosowanym przez nas metodom i procedurom byliśmy w stanie uzyskać bardzo dużo pozytywnych wyników dla populacji średniowiecznych nie związanych z dynastią piastowską i z okresu wpływów rzymskich. To druga część projektu. Dowiemy się na pewno więcej na ten temat i poznamy odpowiedź na pytanie, kto mieszkał w państwie Polan w czasie, gdy tworzyła się dynastia. Trzeba się uzbroić w cierpliwość.

KWIECIEŃ 2020 | ŻYCIE UNIWERSYTECKIE | 19



FOT. ADRIAN WYKROTA

KOEWOŁUCJA: WYPRZEDZIĆ WROGA

W jaki sposób będą się szerzyć epidemie? Co groźnego dla naszego zdrowia dzieje się na styku genów zwierząt i bakterii? Badania prof. Jacka Radwana z Wydziału Biologii UAM nad koewolucją nornic i bakterii z rodzaju *Borrelia* pozwolą odkryć wiele tajemnic.

Prof. Jacek Radwan, biolog ewolucyjny, bada, czy i w jaki sposób układ odpornościowy organizmów żywych i atakujące go patogeny współzależnie ewoluują. „Tutaj, aby utrzymać się w tym samym miejscu, trzeba biec, ile sił” – słowa Czerwonej Królowej z „Alicji po drugiej stronie lustra” biologów ewolucyjni przytaczają dla zilustrowania nieprzerwanego wyścigu zbrojeń między gospodarzem a pasożytem. Badacze sądzą, że obie strony muszą modyfikować swoje białka, żeby przeżyć, jednak do tej pory nie udokumentowano tego procesu w naturze. – Proces był postulowany wiele lat temu, ale poza prostymi systemami, jak bakterie i wirusy hodowane w laboratorium, nie udało się go w warunkach naturalnych w pełni zaprezentować – powiedział prof. Radwan, kierujący Pracownią Biologii Ewolucyjnej na Wydziale Biologii UAM.

Uczony, wyróżniony niedawno Nagrodą Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, ma już sukcesy na tym polu. Razem z międzynarodowym zespołem naukowców wykazał, że nowe warianty genów systemu odpornościowego (kompleks zgodności tkankowej MHC), do których pasożyty nie zdążyły się przystosować, pozwalają gospodarzom skutecznie z nimi walczyć. Okazało się to podczas eksperymentów na tropikalnych rybkach – gupikach i ich pasożytach – przywrach. Wyniki badań opublikowało prestiżowe amerykańskie czasopismo PNAS (Proceedings of the National Academy of Sciences). – Teraz chcemy tę historię domknąć, dodając geny pasożyta i do tego użyjemy nowego systemu – nornic i bakterii z rodzaju *Borrelia*.

Pasożyty kradną białka, a gospodarz mutuje

Prof. Radwana szczególnie interesują dwa białka. Czynniki H (w skrócie CFH), który jest składnikiem tzw. układu dopełniacza u gospodarza (część wrodzonego układu immunologicznego kręgowców) oraz białko powierzchniowe OspE u bakterii. Organizm gospodarza wykorzystuje CFH do oznaczenia własnych komórek, dzięki czemu układ dopełniacza rozpoznaje je jako „swoje”, co zapobiega ich niszczeniu. Natomiast białko OspE krętków *borrelii* oszukuje obronę gospodarza, „podkradając” białko CFH i przyczepiając je do siebie. – Oba białka bardzo szybko ewoluują, zarówno u nornic, jak i u *borrelii*. Chcemy zobaczyć, jak to działa – tłumaczy prof. Radwan. – Sądźmy, że nornice z jednej populacji będą niewrażliwe na atak *borrelii* pochodzących z drugiej populacji, nie przystosowanych do podkradania gospodarzom wariantów CFH z charakterystycznych dla tej populacji.

Borelioza niejedną ma twarz

Sposób, w jaki różne właściwości *borrelii* zmieniają się w czasie pod wpływem koewolucji z gospodarzami, może mieć konsekwencje dla zdrowia ludzi. Białka bakterii nieustannie ewoluują, żeby skutecznie infekować nornice, a z kolei geny nornic mutują, by podnieść odporność na *borrelię* i tak w kółko. Co prawda, nie jesteśmy docelowymi gospodarzami dla *borrelii*, ale mimo to bakterie potrafią wywołać w naszych organizmach poważne infekcje.

Nornice, główni nosiciele borrelii w Europie, rozprzestrzeniły się na terenie naszego kraju z trzech refugium czyli miejsc, które przetrwały ostatnie zlodowacenie – mówi się o linii karpackiej, wschodniej i zachodniej. Okazuje się, że nornice po ustąpieniu lodowca nie do końca się wymieszały. Naukowcy wiedzą, że białka CFH w tych populacjach są odmienne. To samo dotyczy genów *OspE Borrelii*. To pozwala testować, czy koewolucja prowadzi do zmian infekcyjności *Borrelii* w stosunku do genotypów gospodarzy, z którymi wcześniej współwystępowały.

– Podejrzewamy, że różne właściwości białek *OspE borrelii* wpływają na przebieg boreliozy także u człowieka. Wobec tego choroba może rozwijać się różnie, w zależności od tego, czy bakteria pochodzi ze wschodniej czy zachodniej Polski. Poznanie koewolucji nornic i borrelii może nam pomóc przewidzieć, w jaki sposób będą się szerzyć epidemie, również wśród ludzi – mówi prof. Radwan. – Z badaniami podstawowymi zwykle jest tak, że prowadzą do wyników mających zastosowania, o których nawet nie myśleliśmy wtedy, kiedy badania zaczynaliśmy. W tym przypadku też może tak być.

Groźna rekombinacja

Projekt prof. Radwana „Koewolucja gospodarz-pasożyt w strefie wtórnego kontaktu: konsekwencje dla przepływu genów i epidemiologii” będzie realizowany dzięki grantowi Maestro przyznanemu przez Narodowe Centrum Nauki. Badacze zaczną od pozyskania w terenie próbek, które trafią do Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. Tam bakterie będą hodowane, co pozwoli pozyskać dużo materiału genetycznego i odkryć, co „siedzi” w genomach borrelii. Biolodzy sprawdzą na przykład, czy pozyskane szczepy rekombinują. To bardzo ważne, bo nie brakuje danych, potwierdzających, że szczególnie groźne patogeny powstają w wyniku wymieszania materiału genetycznego dwóch różnych szczepów. – Wydaje się, że rekombinacja może dawać pasożytom olbrzymią przewagę i sprawić, że staną się one szczególnie groźne dla gospodarza – mówi prof. Radwan. – Na styku między dwiema liniami genetycznymi, zarówno nornic, jak i borrelii może dziać się coś szczególnie groźnego dla naszego zdrowia.

Nowe gatunki dzięki patogenom?

Biolodzy, analizując białka gospodarzy i patogenów, chcą się też dowiedzieć, czy przystosowanie do lokalnych genotypów patogenów może prowadzić do powstania barier rozrodczych, a w dłuższym czasie nawet do powstania nowych gatunków.

Badacze szukają odpowiedzi na pytanie: czy populacje, które były przez dłuższy czas rozdzielone i niezależnie koewoluowały z pasożytami, kiedy się powtórnie zejdą, mogą okazać się już dwoma odrębnymi gatunkami, czy też nie. Do tej pory niewiele danych potwierdza, że pasożyty pomagają w specjacji (powsta-

waniu gatunków). – Jesteśmy ciekawi, czy nornice z populacji wschodnich będą sobie gorzej radzić z borrelią z zachodu i na odwrót – mówi prof. Radwan. – co stanowiłoby hamulec przepływu genów między wschodem a zachodem.

Luki w doskonałym systemie

To nie pierwszy raz, kiedy nornice pojawiły się w badaniach prof. Radwana. W poprzednim projekcie, również ich dotyczącym, profesor wyjaśnił, skąd biorą się luki w systemie odpornościowym kręgowców. Artykuł opisujący to odkrycie profesora również ukazał się w PNAS. Sprawa wiąże się z genami zgodności tkankowej (MHC), które produkują białka rozróżniające komórki swojego organizmu od organizmów patogennych albo od zmutowanych komórek rakowych. Limfocyty T już we wczesnej fazie rozwoju uczą się rozpoznawania „swojego” od „obcego”, dzięki selekcji opartej na właściwościach ich receptorów TCR. Jeśli zbyt silnie reagują one z własnymi białkami, mogłyby stanowić dla organizmu zagrożenie, dlatego już na etapie edukacji są usuwane z organizmu.

– Wydaje się, że im większy wachlarz białek MHC prezentujemy, tym więcej limfocytów ulega zniszczeniu. – wyjaśnia prof. Radwan – Teraz rozumiemy, dlaczego mamy stosunkowo niewiele genów MHC. Jeśli byłoby ich więcej, to potrafilibyśmy co prawda odpowiedzieć na niemal wszystkie patogeny, ale mielibyśmy za mało limfocytów T, żeby obronić organizm. Jest to jeden z kompromisów ewolucyjnych, które sprawiają, że nie jesteśmy doskonali – wyjaśnia biolog.

Ewa Konarzewska-Michalak

ŻYCIE UNIwersyteckie

uniwersyteckie.pl

z pasją o Nauce



MAMY OKO NA UNIwersYTET

*Borelioza może rozwijać się różnie,
w zależności od tego, czy bakteria
pochodzi ze wschodniej
czy zachodniej Polski*

PRESBIOPIA — CHOROBA DŁUGICH RĄK

W obiegowej opinii presbiopię uważa się za wadę wzroku, jednak należy ją traktować jako efekt zmian fizjologicznych zachodzących w organizmie, podobnie jak pojawienie się siwych włosów. Przez całe życie, począwszy od poczęcia, nasz organizm podlega przemianom. Presbiopia, czyli starczowzroczność, jest ich konsekwencją. Pierwsze symptomy pojawiają się około 40 roku życia jako subtelne zmiany w naszym zachowaniu. Mówi się, że to choroba długich rąk, a ludzie żartują, że pora iść do ortopedy. My o przyczyny presbiopii postanowiliśmy zapytać **dr. Roberta Szubę**, optometrystę z Wydziału Fizyki UAM.

Właściwie nie ma w tym nic zadziwiającego. Przez całe życie nasz organizm przechodzi szereg zmian, które dokumentują upływ czasu. Kobiety doświadczają menopauzy. W układzie kostnym dochodzi do resorpcji i remodelowania materiału kostnego oraz do przemian w obrębie innych tkanek, przez co tracimy na wzroście, a głowa, uszy, nos – wprost przeciwnie – stają się większe. Moglibyśmy na przykład spojrzeć na ucho jakiejś osoby i oszacować, w jakim jest ona wieku. Podobne procesy zachodzą również w oku, a szczególnie w soczewce śródocznej.

– Soczewka śródoczna tworzy się już w pierwszych miesiącach życia płodowego. Jest to w zasadzie jedyny organ naszego ciała, który rośnie z nami przez całe życie i nie porzuca dotychczas tworzących go komórek, a modyfikacji ulega jedynie ich forma – mówi dr Robert Szuba.

Na początku soczewka śródoczna jest idealnie przezroczysta i elastyczna, niczym miękki żelek. Z biegiem czasu jednak stopniowo traci te właściwości. Kolejne nowo powstające komórki śródbłonka podtorebkowego migrują w stronę równika soczewki, a następnie wydłużając się, przyjmują postać włókniastą. W ten sposób tworzą kolejne warstwy powierzchniowe. Budowę soczewki śródocznej można porównać do warstw w cebuli, a jej wzrost do przyrostów rocznych drzewa, z tą różnicą, że w lesie drzewo ma sporo miejsca na taki wzrost, gdy tymczasem w oku stare komórki, aby się pomieściły, muszą ulec przemianie i odpowiednio się skurczyć. Brzmi to groźnie, ale proces ten jest całkowicie naturalny i polega na wytracaniu przez komórki pewnej części organelli oraz wody. Soczewka na przestrzeni dziesięcioleci zmienia swoją objętość w niewielkim zakresie. Dzięki temu oko nie powiększa się, ale w konsekwencji soczewka traci na swojej sprężystości, przez co zmniejsza się wydolność układu akomodacyjnego.

– Za dostosowanie układu optycznego podczas obserwacji bliskich dystansów odpowiada w naszym oku układ akomodacji. W jego skład wchodzi mięsień rzęskowy, który znajduje się obwodowo za tęczęwką, a jedną z jego funkcji jest regulacja kształtu soczewki śródocznej zawieszanej na obwódce rzęskowej – tłumaczy dr Szuba.

Małe dzieci potrafią widzieć ostro przedmioty trzymane bardzo blisko oka. Z biegiem czasu ten najbliższy zlokalizowany obszar ostrości stopniowo odsuwa się. W młodości rzadko na to zwracamy uwagę. Moment krytyczny pojawia się właśnie około 40 roku życia. Wówczas punkt, w którym jesteśmy w stanie wi-

dzieć ostro, przesuwają się na tyle daleko, że najprostsze czynności, chociażby czytanie, zaczynają sprawiać trudności. Wtedy zaczynamy szukać sposobów, aby poradzić sobie z tą niedogodnością. Kierujemy się np. z czytaniem tekstem w stronę światła i odsuwamy go od oczu. Sytuacja pogarsza się dodatkowo, jeśli w parze z presbiopią pojawi się jakieś osłabienie organizmu np. spowodowane przeziębieniem, gripą lub innym wyczerpującym schorzeniem.

Jeśli założyć, że zmiany zachodzące w naszym oku są czystą fizjologią, to czy jesteśmy w stanie im zapobiec? W końcu na zmarszczki wymyślono specjalne kremy...

– Pierwsza metoda jest stara jak świat, czyli dobre światło i długie ręce. A na poważnie, niektórzy okuliści mówią tak: jeśli teraz zapiszę panu okulary do czytania, to szybko pan do nich przyrośnie. Wówczas będzie już można tylko zwiększać moc szkielek. Jest pan jeszcze młody, proszę ćwiczyć wzrok. Możemy tak zrobić – mówi dr Szuba – ale musimy mieć świadomość, że jest to rozwiązanie warunkowe. Jeśli spędzamy długie godziny na czytaniu, przy komputerze, to niestety takie postępowanie wiąże się z dyskomfortem, zmęczeniem oczu, a nawet bólami głowy.

O odsunięciu w czasie presbiopii musimy pomyśleć odpowiednio wcześniej. Pomocne może okazać się np. wykonywanie ćwiczeń akomodacji. Polegają one na ogół na przenoszeniu wzroku na przemian z obiektów umieszczonych tuż przed naszymi oczyma na te znajdujące się w dalszej odległości. To wzmacnia wydolność mięśni rzęskowych, ale niestety efektywnie nie poprawia stanu soczewki śródocznej.

Suplementy czy witaminy w przypadku wzroku na ogół stosowane są w celu utrzymania prawidłowego stanu i funkcji siatkówki. Należy jednak pamiętać, że za jedną z przyczyn wcześniejszych objawów presbiopii uważa się złą dietę, dlatego warto zawczasu zadbać o dobre odżywianie i suplementację niezbędnych witamin i minerałów.

Do dyspozycji mamy jeszcze metody chirurgiczne i farmakologiczne. Te ostatnie są na razie w fazie badań klinicznych, ale zapewne już niedługo pojawią się na naszym rynku. Obecnie testowane są dwie takie metody. Działanie pierwszej podobne jest do efektu, jaki uzyskujemy podchodząc do światła: lek powoduje zmniejszenie źrenic, a tym samym pogłębienie ostrości widzenia. Drugi specyfik ma za zadanie poprawić elastyczność soczewki śródocznej.

Najbardziej jednak powszechnym rozwiązaniem problemu ze starczowzrocznością jest wizyta u specjalisty, korygującego



FOT. ADRIAN WYKROTA

wady wzroku i zamówienie zaleconych szkieł korekcyjnych. Jak przekonuje dr Szuba, najlepiej, aby były to okulary wykonane z uwzględnieniem indywidualnych potrzeb oraz parametrów układu wzrokowego. A co w takim razie z gotowymi okularami dostępnymi w marketach?

– Jest wielu przeciwników powszechnej dostępności tego typu okularów. Ja jednak przekornie powiem: dobrze, że one są. Jeśli ktoś zgubi okulary, nie musi bezradnie czekać aż optyk zrobi mu nową parę. Po prostu kupi sobie tymczasowe okulary. Na krótki czas tego typu „gotowce” nie powinny zaszkodzić. Natomiast na dłużej odradzałbym takie rozwiązanie, ponieważ można tą drogą wywołać przykre i trudno odwracalne zaburzenia w układzie wzrokowym. To tak jak z butami, najlepsze są te szyte na miarę.

Presbiopia jest przypadłością powszechną – w jakimś stopniu dotyka wszystkich, jednak osoby krótkowzroczne znacznie później odczuwają jej skutki. Problemy z widzeniem na bliskich dystansach bywają dość często maskowane wadą krótkowzroczności. Często sygnałem dla krótkowidza, że pojawia się presbiopia, jest to, że podczas patrzenia na krótki dystans zdejmuje okulary. W wielu przypadkach przy postępującej presbii takie działania przestają jednak wystarczać, konieczna jest wizyta u specjalisty i wykonanie drugiej pary okularów. Dla wielu osób korzystanie z dwóch, a czasami nawet z kilku par okularów dostosowanych do określonych odległości, staje się szybko nazbyt uciążliwe. Dlatego dla nich konstruuje się soczewki progresywne.

Pierwsze okulary, korygujące zarówno wady wzroku jak i niedomogi akomodacji, spopularyzował amerykański wynalazca Benjamin Franklin. Wykonał on dla siebie okulary z charakterystyczną poziomą kreską biegnącą w poprzek szkieł. Okulary te były złożone z czterech soczewek przeciętych na pół. Te w górnej części służyły do patrzenia na dal, te w dolnej przeznaczone były do czytania. W zależności od potrzeby wykorzystywana była odpowiednia ich część. Okulary o zbliżonej konstrukcji dostępne są do dzisiaj, z tą różnicą, że obecnie stosuje się w nich soczewki wykonane z jednolitego materiału. Mają one swoich zwolenników i przeciwników. Tym drugim przeszkadza widoczna na soczewkach delikatna kreska. Jeśli ktoś ze względów estetycznych nie toleruje takich rozwiązań, może sięgnąć po okulary progresywne.

Pierwsze okulary progresywne pojawiły się pod koniec lat 50. ubiegłego wieku. Nie mają one już tej kontrowersyjnej kreski. Soczewka jest tak zaprojektowana, aby jej moc zmieniała się

płynnie, wzrastając z góry na dół. Również z tymi okularami wiążą się pewne ograniczenia – związane są one ze strefami ostrego widzenia. W takich okularach na bocznych peryferiach pola widzenia pojawiają się obszary, gdzie ostrość widzenia zaczyna się zauważalnie pogarszać. Wynika to z ograniczeń technicznych, nie da się tak przygotować soczewki aby wyeliminować te strefy.

Często mówi się, że korzystania ze szkieł progresywnych trzeba się nauczyć. Zdarzają się osoby, które skarżą się na zawroty głowy i inne dolegliwości.

– Gdybym miał tak na szybko przytoczyć jakąś obrazową statystykę – mówi dr Szuba, to na dziesięć osób, siedem założy okulary progresywne z soczewkami starszej konstrukcji, ale dobrze dopasowane i przyzwyczai się do nich stosunkowo szybko. Dla kolejnych dwóch trzeba będzie wyszukać soczewek wykonanych w nowszej technologii – to są osoby z różnych powodów wrażliwsze lub wymagające. Rynek w tej dziedzinie jest dzisiaj szeroki, a producenci doskonale opanowali metody wytwarzania soczewek, opierając się często o wiedzę kliniczną. Z tych wspomnianych dziesięciu osób tylko jedna wymaga dłuższego czasu adaptacji, a być może z różnych względów do tego typu korekcji się nie zaadaptuje. To jest jednak margines w liczbie potencjalnych użytkowników takich okularów. Większość osób będzie z nich zadowolona.

Od pewnego czasu na naszym rynku dostępne są też tzw. progresywne soczewki kontaktowe. Część z nich stanowi realizację tej samej idei, co okulary franklinowskie. Kiedy spoglądamy w dół w takich soczewkach, nasze źrenice również podążają ku dołowi, a soczewka kontaktowa wspierana o krawędź dolnej powieki, popychana jest wyżej względem źrenicy, pokrywając ją strefą przeznaczoną do obserwacji bliskich dystansów. Do dyspozycji są też tzw. soczewki miękkie, w których mamy do czynienia z nałożeniem dwóch obrazów. Jeśli patrzę na dalszy dystans, to strefy, które gwarantują widzenie obiektu blisko, nie są używane, ponieważ na ogół w tym czasie w bliskiej przestrzeni nic nie ma. Nie ma obiektu, nie ma obrazu. Natomiast w drugiej sytuacji, kiedy patrzymy na tekst, widzimy go ostro, ponieważ te strefy, które odpowiadają za widzenie dalszych dystansów powodują, że obraz obiektów na bliskim dystansie jest zniekształcony i zamazany, w związku z czym nasz mózg go ignoruje, wybierając obraz ostrzejszy, utworzony przez właściwe strefy do blizy.

Magda Ziółek



FOT. ADRIAN WYKOTA

SINGIEL W TEORII NIEJASNEJ STRATY

Czy bycie tzw. singlem oznacza samotność
czy jednak wolność?

Zastanawia się **prof. Katarzyna Adamczyk**
z Wydziału Psychologii i Kognitywistyki
w rozmowie z Jagodą Haloszką.

To na pewno kwestia indywidualna. Z pewnością dla części osób życie w pojedynkę może wiązać się poczuciem samotności, zwłaszcza jeśli ktoś chciałby mieć partnera/partnerkę, a nie ma go/jej. Dla innych z kolei życie w pojedynkę nie być musi być źródłem samotności, ale raczej czymś, co daje spełnienie i wolność, szczególnie wtedy, gdy ktoś ma poczucie, że życie w pojedynkę to osobisty wybór. Co więcej, stosunek do życia w pojedynkę oraz postrzeganie go w kategoriach zalet lub wad nie jest czymś stałym, lecz może zmieniać się na przestrzeni jakiegoś czasu lub całego życia. Na to pytanie nie ma zatem jednoznacznej odpowiedzi i dochodzimy tutaj do kwestii tego, co określa się w literaturze mianem satysfakcji ze statusu związku, czyli po prostu odczucia, jak bardzo jesteśmy zadowoleni z tego, że aktualnie mamy lub nie mamy partnera/partnerki. I ta satysfakcja okazuje się mieć większą wartość wyjaśniającą poziom naszej satysfakcji z życia i dobrostanu aniżeli sam fakt posiadania lub nieposiadania partnera/partnerki.

Prowadzi pani badania nad życiem w pojedynkę jako niejasnej, niejednoznacznej straty. Na czym polega ta niejasna strata?

Pojęcie „niejasna strata” to konstrukt teoretyczny zaproponowany przez badaczkę Pauline Boss (1977) na określenie straty, która nie jest jednoznaczna, jak ma to miejsce, np. w przypadku śmierci współmałżonka. Pauline Boss wyróżniała dwa możliwe rodzaje takiej niejasnej straty: kiedy członek rodziny jest fizycz-

nie nieobecny, ale jest on obecny psychologicznie oraz kiedy członek rodziny jest fizycznie obecny, ale jest on psychologicznie nieobecny (np. członek rodziny cierpiący na chorobę Alzheimera). Po raz pierwszy podejmiemy próbę empirycznej weryfikacji oraz rozszerzenia tej teorii. Ale zacznijmy od początku. W przypadku osób żyjących w pojedynkę, które pragną mieć partnera/partnerkę, ale go/jej nie mają, niejasna/niejednoznaczna strata wiąże się z brakiem jasnych informacji, czy spotkają, czy też nie potencjalnego partnera/partnerkę oraz czy spotkają potencjalnego partnera/partnerkę po krótkim, czy też długim czasie. Innymi słowy, ta niejasna strata dotyczy straty partnera/partnerki, który/która jest antycypowany/antycypowana w myślach osoby żyjącej w pojedynkę, a więc kogoś, kto aktualnie nie jest obecny w życiu danej osoby.

W trakcie projektu przeprowadza pani badania mieszane. Czy może pani o nich coś opowiedzieć?

Głównymi celami naszego projektu są: określenie, w jakich warunkach życie w pojedynkę jako niejasna strata może prowadzić do granicy niejednoznaczności; określenie, jakie są bezpośrednie i pośrednie związki między niejasną stratą a zdrowiem psychicznym; określenie, jakie i w jaki sposób strategie radzenia sobie z niejasną stratą i granicą niejednoznaczności pozwalają ograniczyć jej negatywne skutki dla zdrowia psychicznego. W wywiadach pragniemy poznać historie osób dorosłych, które co najmniej od trzech lat żyją w pojedynkę, w odniesieniu do niejasnej straty i niejednoznaczności, a także procesu radzenia sobie z nimi. W drugim etapie przeprowadzimy wstępne badania walidacyjne, które pozwolą nam na opracowanie oraz sprawdzenie trafności w grupie osób żyjących w pojedynkę trzech nowych narzędzi do pomiaru trzech naszych zmiennych, tj. niejasnej straty, granicy niejednoznaczności, a także strategii radzenia sobie z niejasną stratą i niejednoznacznością. W ostatnim etapie przeprowadzimy zasadnicze badania ilościowe z trzema pomiarami w rocznych odstępach, które umożliwią nam zweryfikowanie naszych hipotez badawczych.

Ale czy ta niejasna strata może wiązać się z negatywnymi konsekwencjami?

Niejasna strata to pojęcie odnoszące się do obiektywnej sytuacji czy zdarzenia. To, co jest kluczowe, to postrzeganie przez osobę owej niejasnej straty, czyli danej sytuacji lub zdarzenia i tę percepcję określa się jako granicę niejednoznaczności. Granica niejednoznaczności jest postrzeganiem straty i pojawia się, gdy myśli, uczucia lub działania osoby zostają dotknięte przez brak jasności co do obecności lub nieobecności członka rodziny. Według ustaleń innych badaczy, niejednoznaczna strata wiąże się z takimi negatywnymi skutkami, jak zablokowanie procesu radzenia sobie, uczucie bezradności, beznadziei, wyczerpanie, depresja, lęk, nadużywanie narkotyków, przemoc lub samobójstwo. Ale te konsekwencje dotyczą niejasnej straty w ogóle i przed nami dopiero stoi zadanie sprawdzenia, jakie są konsekwencje niejasnej straty życia w pojedynkę...

*Niejasna strata to pojęcie odnoszące się
do obiektywnej sytuacji czy zdarzenia*



O DZIECIACH DLA ONZ

7 milionów dzieci na całym świecie jest pozbawionych wolności.

Ta liczba przeraża, ale przede wszystkim skłania do działań.

Łukasz Szoszkiewicz, doktorant z WPiA uczestniczył w przygotowaniu specjalnego raportu dla ONZ, który tworzył zespół profesora Manfreda Nowaka z Wiednia. Rozmawia z nim Krzysztof Smura

FOT. ADRIAN WYKROTA

Skąd zainteresowanie tym tematem?

Stało się to po wizycie w Poznaniu prof. Manfreda Nowaka, byłego specjalnego sprawozdawcy ONZ do spraw tortur. Profesor zajmował się wizytowaniem najgorszych miejsc pozbawienia wolności na świecie. Guantanamo, Gwinea Równikowa, Timor Wschodni to adresy, pod którymi bywa. Generalnie zaś kieruje pracami specjalnego zespołu w Wiedniu i Wenecji. Dzięki pomocy mojego promotora dostałem zaproszenie na pobyt badawczy. Miałem się zająć pozyskiwaniem danych statystycznych potrzebnych do realizacji projektu UN Global Study on Children Deprived of Liberty.

Stał się pan analitykiem wiedeńskiego zespołu?

Przydzielono mi obszar analizy informacji, a także uzupełniania danych. Ponieważ często były one niepełne i niewiarygodne, porównywałem je z innymi dostępnymi danymi np. agencji ONZ czy organizacji pozarządowych. Kilkuosobowy zespół wspomagało ponad 150 naukowców z całego świata. Przepadła mi w udziale praca nad dokumentami, które nadsyłały poszczególne państwa, odpowiadając na ankietę dotyczącą pozbawienia wolności dzieci.

Jakich obszarów badawczych dotyczyła ankieta?

Kwestionariusz składał się z 78 pytań, a cały raport i jego koncepcja bazowały na konieczności opisanie sytuacji dzieci w sześciu obszarach. Pierwszym był wymiar sprawiedliwości, drugi to migracja (ośrodki dla cudzoziemców), kolejny to dzieci przebywające w więzieniach ze swoimi rodzicami. Czwarty wątek dotyczył sytuacji dzieci w ośrodkach opieki – m.in. sierocińce, szpitale psychiatryczne i domy poprawcze. Piąty to dzieci oskarżone o terroryzm, czyli np. wracające z Syrii. Ostatni związany był z dziećmi pozbawionymi wolności w kontekście konfliktów zbrojnych. Ten przykład może dotyczyć np. nieletnich przebywających na terenie państwa islamskiego, nad którymi kontrole przejęła Syria. Dzieci lub ich rodziny są niekiedy traktowane jako współpracownicy ISIS. Większość pytań dotyczyła legislacji i dobrych praktyk, mających na celu zredukowanie złej sytuacji dzieci. Głównym powodem tworzenia raportu było bowiem zbadanie, dlaczego dzieci trafiają do zamkniętych instytucji, a także stworzenie rekomendacji, w jaki sposób państwa mogą te dzieci uwolnić. Każdy rozdział pracy kończył się szeregiem szczegółowych zaleceń.

Państwa się do tego przyznają?

Nie wszystkie. Część publikuje otwarcie jedynie informacje o pozbawieniu wolności w niektórych sprawach, najczęściej w ramach systemu wymiaru sprawiedliwości. Inne państwa nie

mają natomiast odpowiedniej infrastruktury i systemów komputerowych, aby takie dane gromadzić.

Ale szara strefa na pewno istnieje?

Oczywiście. Choćby w problemach migracji, w dziedzinie opieki np. w domach dziecka, przetrzymywaniu dzieci w szpitalach psychiatrycznych...

Co stwarzało wam największe problemy w czasie zbierania danych?

Państwa nie do końca trzymały się definicji prawa międzynarodowego. Na przykład art. 1 Konwencji o prawach dziecka stanowi, że jest to osoba do 18. roku życia. Niektóre państwa włączały w swoje statystyki tzw. młodych dorosłych nawet do 25. roku życia. Trzeba było te dane odsiać. Była też grupa państw, która nie odpowiedziała na nasze pytania. Wśród nich było wiele państw Azji Wschodniej.

Siedem milionów dzieci. Ta liczba poraża...

To prawda. Ale trzeba dodać, że to dane superkonserwatywne.

Gdzie jest najgorzej?

To zależy. Przykładowo w kontekście migracji liczby są wysokie w Stanach Zjednoczonych. Wynika to zarówno z dużego ruchu migracyjnego, jak i restrykcyjnej polityki azylowej, a także polityki separowania dzieci od rodziców. Stany Zjednoczone są jedynym państwem członkowskim ONZ, które nie jest stroną w Konwencji o prawach dziecka. Z kolei w kontekście konfliktów zbrojnych, najwięcej dzieci pozbawionych wolności jest na terytorium Syrii.

W czasie prezentacji na forum ONZ byliście sprawcami małego skandalu.

Rzeczywiście, zapytani przez jednego z dziennikarzy, podaliśmy pewne dane, wskazujące na wysoką liczbę dzieci pozbawionych wolności w USA i prasa potraktowała to jako pretekst do ataku na administrację Donalda Trumpa. Tymczasem ostatnie dane dotyczyły 2015 roku, czyli czasów Baracka Obamy. Dziennikarze nie dopytali i poszło w świat.

Jaki jest efekt raportu przedstawionego w ONZ?

Państwa podejmują temat. Pracujemy nad poradnikiem dotyczącym tego, jak implementować nasze rekomendacje. Odwiedzamy kolejne regiony świata i aktualizujemy naszą wiedzę, bo to, co zrobiliśmy, bardzo szybko staje się historią. Byliśmy niedawno w Bangkoku i rozmawialiśmy z państwami z regionu. Niebawem ruszamy do Montevideo i Buenos Aires. Wszystko dla dobra dzieci.

KOBIETY, MĘŻCZYŹNI I NAUKA

Prof. Alesia Zuccalà z Uniwersytetu Kopenhaskiego wygłosiła referat dotyczący badań nad płcią. Zainaugurował on cykl wykładów w Szkole Doktorskiej Nauk Humanistycznych UAM. Z **prof. Zuccalà** rozmawiają Franciszek Krawczyk i Jakub Krzeski.

Jako badaczce zajmującej się bibliometrią i ewaluacją badań naukowych, co wydało się pani szczególnie interesujące w badaniach nad rolą płci w nauce i w pracy akademickiej?

Chciałabym wskazać na dwie rzeczy – jedną ogólną, drugą osobistą. Po pierwsze, od jakiegoś czasu toczy się wielka debata nad społecznym znaczeniem płci w nauce. Wiele badaczek w ramach studiów nad nauką i techniką może pochwalić się świetnymi pracami na ten temat. Zresztą nie jest to już wyłącznie domena kobiet, ponieważ widzimy rosnącą grupę mężczyzn prowadzących świetne badania. Fundusze przeznaczone na te badania również rosną, co motywuje naukowców do podjęcia tematu. Kiedy zaczynamy omawiać występujące w nauce przejawy dyskryminacji i nierówności okazuje się, że to o mojej płci dyskutuje się najwięcej. Chciałam być częścią tej dyskusji. Po drugie, spotkałam na konferencji badaczkę, która mnie zainspirowała. Naszym pierwszym pomysłem było badanie produktywności kobiet w nauce z perspektywy rozwoju kariery naukowej i istniejących dysproporcji. Jednak szybko zdałyśmy sobie sprawę, że aby dotrzeć do sedna problemu, musimy wziąć pod uwagę mnóstwo ukrytych psychologicznych uwarunkowań. Wtedy zaczęłyśmy wymieniać się pojęciami takimi, jak: *gaslighting* (rodzaj psychologicznej manipulacji polegającej na przekonywaniu kogoś do uznania swojej niepoczytalności lub wątplenia we własne władze poznawcze – red.) czy *moral-licencing* (podświadome zjawisko psychologiczne polegające na przekonaniu, że nasze wcześniejsze zasługi równoważą lub wymazują niewłaściwe zachowania, których się dopuściliśmy – red.). Pytałyśmy się: czy ty tego doświadczyłaś? Obie doświadczyłyśmy. Te zjawiska obserwujemy zarówno w Internecie, jak i w całym społeczeństwie. Pomyślałam, że dobrym pomysłem będzie uczynić je głównym przedmiotem badań.

Wskazała pani, że badania nad płcią są ogromnym polem badawczym, łączącym pracę naukowców z rozmaitych dyscyplin. Co unikalnego jest w pani perspektywie badawczej?

Moral-licencing, *gaslighting* – to nie są łatwe tematy, to poważne nadużycia występujące w społeczności akademickiej. Przyzwolenie, by o nich mówić i je badać jest teraz większe niż kiedykolwiek wcześniej. Rozmawiając z przyjaciółką, z którą planowałyśmy pisać artykuł o *gaslightingu*, wpadłam na pomysł, że może zanim to zrobimy, powinniśmy przyjrzeć się tym wszystkim zmiennym, przez co rozumiemy cechy lub właściwości



FOT. ARCHIWUM

charakterystyczne dla analizowanej grupy osób czy też zbioru przedmiotów, dla zrozumienia nierówności ze względu na płeć w nauce. Społeczność badaczy nauki, technologii i innowacji musi być świadoma, że kiedy chcemy wkroczyć na teren badań nad płcią, musimy wziąć pod uwagę wszystkie typy zmiennych, które znajdują się dookoła. A następnie musimy jeszcze ocenić zakres ich wpływu, czy są stałe, a jeśli nie, to jak możemy je badać. To nie są oczywiście nowe dane, nowa jest rama teoretyczna, która pozwala patrzeć na różnorodność zmiennych.

Czy może pani opowiedzieć nieco o dalszych planach badawczych w tym zakresie? Jaki będzie następny krok?

Z moją przyjaciółką Gemmą Derek mamy zamiar zorganizować warsztaty, na których będziemy zachęcać ludzi do mówienia o zmiennych związanych z ich funkcjonowaniem w społeczności akademickiej. Pomoże nam to usłyszeć nowe głosy w dyskusji i pozwoli powiedzieć: „Cóż, spójrzcie, tu są pewne zmienne obserwowalne bezpośrednio, tu pewnie nieobserwowalne, ale wciąż nie znamy wszystkich zmiennych zakłócających, leżących u podłoża tego wszystkiego. A jeśli jakieś znamy, musimy również poznać sposoby, jak je badać.” Mój plan ma więc dwa cele. Po pierwsze, zwrócić uwagę szerszej społeczności akademickiej na ten problem. Po drugie, sprawdzić, co jeszcze mogę zrobić naukowo, bazując na wszystkim, czego się dowiedziałam, przeprowadzając szeroki przegląd literatury.

Przeciwdziałanie nierównościom ze względu na płeć i wszelkim formom nadużyć jest wyzwaniem i istnieje wokół tej kwestii spora debata. Czy mogłaby pani dać wyłaniającą się z własnych badań wskazówkę, która odpowiedziałaby nam, jak pracować na rzecz środowiska sprzyjającego równemu rozwojowi naukowemu bez względu na płeć?

Myszę, że bezpieczne jest stwierdzenie, że sprawy idą ku lepszemu i sytuacja się poprawia. Prowadzimy na ten temat coraz więcej rozmów i z pewnością ruchy feministyczne wykonały ogromną pracę na rzecz tej sprawy. Nie zmienia to jednak faktu, że funkcjonujemy wciąż w rzeczywistości, którą można by nazwać ciągłym stanem widocznych form nierówności. Sytuacja ta nie jest prosta, ponieważ każda praktyczna forma rozwiązania tego problemu musi się jednocześnie zmierzyć z leżącą u podstaw tej sytuacji logiką. Rozwiązania typu – żeby ktoś mógł zyskać, inny musi stracić – po prostu nie działają. Mamy tu do

czynienia z dominacją i władzą, które zawsze są grą o sumie zerowej. Wbrew tej logice musimy starać się stworzyć sytuację, w której zyskują obie strony. Jedyne sposoby na osiągnięcie tego, to bycie szczerym samemu ze sobą. Jeśli wciąż nie wyłania się obraz, w którym zarówno mężczyźni, jak i kobiety odnoszą sukcesy, to musi nas to zmuszać do zadawania pytań. Oznacza to badanie każdej możliwej zmiennej, zanim zaczniemy konstruować konkretne rozwiązanie praktyczne. Być może, ostatecznie okaże się, że nie potrzebujemy wcale praktycznego rozwiązania, ale ciągłego zadawania pytań i ciągłej rozmowy wokół tych kwestii.

To znaczy, że dla pani już sam proces badawczy jest w jakimś sensie procesem zmiany, ponieważ pozwala nam uświadomić sobie działanie tych zmiennych?

Tak, to pozwala nam zmienić wzorce zachowania, oczekiwania, sposób myślenia o konkurencji, jak również zastanowić się, czym jest wygrana i czym jest porażka. Samoświadomość jest tu kluczowa. Niektórzy uważają, że nie są w stanie zatrzymać w pojedynkę na przykład zmiany klimatycznej, ale to, co ja mogę zrobić, to zadać pytanie o własną praktykę. Wiem, co mogę robić lepiej jako jednostka. Autorefleksja odgrywa tu ogromną rolę. Być może nie tego oczekuje się od naukowca, ale to właśnie może być rozwiązaniem. W końcu to nie tak, że brakuje nam twardych dowodów.

Na pani wykład przyszedł przede wszystkim doktoranci nauk humanistycznych, którzy znajdują się na wczesnym etapie kariery naukowej. Jakiej rady mogłaby pani im udzielić, która pomogłaby w nawigowaniu po gwałtownie zmieniającej się rzeczywistości pracy akademickiej i mierzeniu się z nowymi presjami zewnętrznymi?

Przed wszystkim uważam, że dobrze sobie radzicie. Chcę wyrazić uznanie dla wszystkich ciężko pracujących osób w spo-

łecznościach akademickich i zespołach badawczych, w których współpracują ze sobą zarówno mężczyźni, kobiety i osoby niebinarne. Taka współpraca to powód do radości. Myślę, że czeka was trudna droga. Chociaż będziecie się mierzyć z silną konkurencją, starajcie się nie zapominać o refleksji nad samym sobą i sposobami postrzegania płci. Starajcie się zawsze zachować samoświadomość, być szczerymi, skupionymi i uważnymi na działające w waszym otoczeniu zmienne. Rozglądajcie się jak najwięcej dookoła i przede wszystkim czerpcie radość ze współpracy. Prowadźcie dyskusje ze wszystkimi wokół was, miejcie z tego radość i pomagajcie sobie wzajemnie wydobyć z was to, co najlepsze, bez względu na płeć.

Alesia Zuccala jest profesorką na Wydziale Komunikacji Uniwersytetu Kopenhaskiego. W 2004 roku obroniła doktorat w z nauk o informacji na Uniwersytecie w Toronto, a następnie pracowała w nauce i dydaktyce w Australii, Wielkiej Brytanii i Holandii. Specjalizuje się w bibliometrii i ewaluacji badań naukowych. Jest członkinią International Society for Scientometrics and Informetrics (ISSI) i European Network for Research Evaluation in the Social Sciences and Humanities (ENRESSH). W ostatnim czasie współredagowała numer specjalny ASLIB Journal of Information Management pod tytułem „Scholarly Books and their Evaluation Context in the Social Sciences and Humanities”. Publikowała w takich czasopismach jak *Scientometrics*, *Research Evaluation* czy *Journal of the Association for Information Science and Technology*.

Wspomniany cykl wykładów Invited Lectures in the Humanities w Szkole Doktorskiej Nauk Humanistycznych UAM, który zainaugurowała, ma wspomóc doktorantów w rozwijaniu własnych kompetencji badawczych przez bezpośredni kontakt z uznanymi w swoich dyscyplinach naukowcami.

NASI NAUKOWCY WSPÓŁODKRYWCAMI

Międzynarodowy zespół naukowców, z udziałem chemików z Wydziału Chemii UAM i Centrum Zaawansowanych Technologii UAM: prof. Arturem Stefankiewiczem i Anną Walczak zaprojektował i wytworzył nowy typ materiałów – porowate ciecze jonowe.

Wyniki badań opublikowało prestiżowe czasopismo *Nature Chemistry*.

Materiały porowate, swoją strukturą przypominającą gąbkę lub pumeks, od dawna stanowią obiekt wzmożonych badań wielu czołowych zespołów naukowych na całym świecie. Powodem tego jest ogromny potencjał aplikacyjny tego typu materiałów m. in. w separacji i sekwestracji gazów czy katalizie. Największe koncerny chemiczne na całym świecie, w tym niemiecki gigant, firma BASF, nie tylko inwestują w badania nad tego typu strukturami, lecz już produkują te materiały na skalę przemysłową.

Zdecydowana większość dotychczas otrzymanych materiałów porowatych ma postać ciała stałego. Porowate ciecze, czyli ciecze zawierające w swej strukturze puste przestrzenie tzw. pory o średnicy od kilku do kilkudziesięciu nanometrów, zdolne do

selektywnego wiązania różnego rodzaju cząsteczek chemicznych, są znane i intensywnie badane dopiero od kilku lat.

Teraz brytyjsko-polsko-australijski zespół naukowców opracował nowy ciekły materiał porowaty, w którym regularnie rozmieszczone i stabilne wolne przestrzenie w cieczy, o kształcie czworoboku, niezwykle efektywnie wiążą nie tylko cząsteczki o podobnym lub nawet identycznym składzie chemicznym (izomery alkoholi), ale również cząsteczki gazów, w tym fluoro-chlorowęglowodory czyli popularne freony. Selektowne kompleksowanie, zwłaszcza cząsteczek z grupy freonów, jest niezwykle istotne, gdyż związki te przyczyniają się do niszczenia warstwy ozonowej w stratosferze atmosfery ziemskiej – zaznacza prof. Stefankiewicz.

Jagoda Haloszka

JASKINIA [NIE TYLKO] FILOZOFÓW

O autorskiej metodzie Lego–Logos, micie jaskini i pracy na uniwersytecie w Konstancji z **Jarosławem Markiem Spychałą**, doktorantem na Wydziale Filozoficznym UAM, rozmawia Jan Matecki.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Co z tą jaskinią, wyszliśmy już z niej czy nadal w niej tkwimy?

Powołam się na słowa Heinego, który zauważył, że od czasów Kanta jesteśmy już tylko więźniami platońskiej „jaskini”. Innymi słowy, nikt nie kwestionuje pragnienia wyjścia z symbolicznej jaskini i poznania prawdy, ale Heine w ślad za Kantem uważa, że jest to po prostu niemożliwe. Niewątpliwie świadomość niemożliwości przekroczenia siebie narasta pod wpływem filozofii Kanta. I nawet wielkie nadzieje rozbudzone przez dynamiczny rozwój nauk przyrodniczych nie są w stanie zatrzymać tego sceptycznego trendu. Heisenberg, wybitny fizyk, dostrzega ograniczenia ludzkiego poznania i powiada: stale natykamy się na struktury będące sprawką człowieka, stale więc spotykamy niejako siebie samych. Esencję tego nastawienia obrazowo oddaje Baudrillard w książce *Symulakry i symulacja*. Przytacza on historię idealnej mapy imperium rzymskiego. Cesarzowie kartografowie dążąc do precyzji stworzyli mapę dokładnie tak wielką, jak samo terytorium cesarstwa. Mapa zasłoniła rzeczywiste terytorium i z czasem stała się jedynym i prawdziwym jego obrazem – ludzie zapomnieli, że chodzą po mapie i mapę zaczęli brać za rzeczywistość samą. Zdaniem Baudrillarda w kulturze rozpoczął się proces kopiowania rzeczywistości, w następstwie którego kopia zaczyna zastępować i wypierać rzeczywistość. Innymi słowy, człowiek staje się więźniem kopii (jaskini), w której nie ma kontaktu z rzeczywistością, lecz tylko z jej kopiami (cieniami rzeczywistości).

Czy interpretacja takich mitów nie wymaga jakichś reguł „wykładowczych”, które w pewnych wypadkach ograniczałyby radosną twórczość wyobraźni?

Zaryzykuję opinię, że filozofia od swoich początków szukała drogi do prawdy, tj. metody poznania prawdy. I aby to zrozumieć, warto sięgnąć do etymologicznego znaczenia terminu „metoda”. Greckie słowo *ὁ μέθοδος* jest złożone z dwóch słów: *μέτα* (w kierunku, według) i *ὁ δόξ* (droga), co razem tworzy termin *ὁ μέθοδος* (metoda) i oznacza: podążanie z drogą, wzdłuż określonej drogi, do celu. Etymologiczny sens terminu wyraża Kartezjusz w metaforze lasu: zagubieni w lesie wędrowcy wyjdą z lasu wtedy, jeśli będą trzymali się raz wybranej drogi (metody), choćby była ona najdłuższa, a jeśli zaczną co chwila zmieniać drogę, to zaczną się kręcić w koło. Humanisci są świadomi niedoskonałości swoich metod, ale rozumieją też, że bez nich zaczną błądzić.

Czy mógłbyś podzielić się doświadczeniami z Uniwersytetu w Konstancji, gdzie kolejny rok prowadzisz zajęcia metodą Lego–Logos?

Trudno mi jest wypowiedzieć się w tej kwestii wiążąco – nie prowadziłem systematycznych badań na ten temat. Ograniczę się zatem do pewnej refleksji, która może być subiektywna, a nawet mylna. Rzuca mi się w oczy „punktowy” sposób studiowania. Część studentów dobiera przedmioty tak, aby nie narażać się na ewentualne niepowodzenia. Sprawia to wrażenie zachowania racjonalnego – minimalizują potencjalne ryzyko niepowodzeń. Jak mi się wydaje, jest to złudna racjonalność. Studia wpisują się czasowo w okres dojrzewania człowieka. A dojrzewanie, idąc za Campbellem, to czas kształtowania się odwagi, która rodzi się dzięki próbom i upadkom. Podejmowanie ryzyka jest niezbędne, nawet, jeśli spodziewam się porażki. Nie chodzi mi o to, aby narażać studentów na jakieś traumatyczne przeżycia, ale zachęcać do pokonywania swoich granic. To bowiem stanowi o istocie studiowania, czyli zmagania się nie tyle ze światem zewnętrznym, lecz przede wszystkim z samym sobą. Tymczasem część studentów nauczyła się omijać „trudne miejsca” uniwersyteckiej edukacji i kończyć studia nigdy nie narażając się na konfrontację z tym, co „trudne”. Można by wziąć ich w obronę i za Adorno i Horkheimerem powiedzieć, że nauczyli się zwalczać system wewnątrz systemu, niczym Odyseusz, który swoim sprytem oszukał syreny i Polifema. Ale tak naprawdę to kogo taki student „oszukał”? Przeszedł studia, zdał egzaminy, ale nie nabył wiedzy o tym, co trudne.

Co byś doradził młodej badaczce, która otrzymała właśnie BestStudentGrant na swoją metodę w zastosowaniu do liryki, gdy sam zajmujesz się w gruncie rzeczy epiką, eposem, mitem?

Początki filozofii mają charakter liryczny. Z pewnością wiązało się to z możliwościami upowszechniania przekazu – teksty tworzone w metrum łatwiej zapamiętywano i równie łatwo odtwierzano. Wydaje mi się zatem, że badacz chcący wypróbować heurystyczny potencjał metody Lego – Logos może sięgnąć po teksty wczesnych greckich filozofów. W ten sposób uczyni przedmiotem badań teksty filozoficzne, jak i poetyckie zarazem. Co do tekstów współczesnych – niecierpliwie czekam na rezultaty!

Metoda ΛΕΓΩ-ΛΟΓΩΣ [pol. lego–logos] oparta jest oparta o platońską technikę obrazowania. Zajęcia rozpoczyna lektura tekstów filozoficznych, które następnie uczestnicy interpretują w formie przestrzennych budowli. Heureka tych budowli pozwala uczestnikom dotrzeć do głębszego sensu omawianych źródeł filozoficznych. Metodę stosuje się m.in. do nauczania filozofii, etyki, języków oraz kreatywności.

CZŁOWIEK JEST JEDNOŚCIĄ

Z ks. Markiem Gubernatem MSF, absolwentem filologii klasycznej i słuchaczem studiów podyplomowych na Wydziale Teologicznym, o świętach wielkanocnych i o możliwych sposobach na ich przeżywanie rozmawia Magdalena Ziółtek.



FOT. ADRIAN WYKROTA

Już niedługo Wielkanoc, czy coś może nas uratować przed całym tym marketingowym szaleństwem? Czekoladowe zajączki, jajeczka. Gdzie szukać istoty tych świąt?

Myszę, że wszystkie tradycje i obrzędy, które wyrosły wokół świąt, zresztą nie tylko tych wielkanocnych, są bardzo cenne i warte podtrzymywania. Jednak – i to chyba jest odpowiedź na pani pytanie – pożądanym jest umiar. Trzeba sobie zadać pytanie, po co te przygotowania, po co – no właśnie, te czekoladowe zajączki, baranki itd. Jak długo może nas bawić malowanie jajeczek, zdobienie koszyka? W końcu człowiek z tego wyrasta. Wtedy należy poszukać prawdziwej istoty...

Często odejmujemy od naszego „świętowania” pierwiastek religijny. Mówimy: chodzi o to, aby miło spędzić czas, życzymy sobie rodzinnych świąt....

Powiedzmy sobie to wprost: Wielkanoc to święta religijne. Oczywiście, jesteśmy ludźmi wolnymi i każdemu wolno świętować to, co mu w duszy gra. Możemy sobie stworzyć nowe święta np. wiosny, rodziny itd. Jednak, jeśli mówimy o świętowaniu Wielkanocy, to dla chrześcijan jest to czas zmartwychwstania Chrystusa i tego nie da się wymazać.

Dla osób wierzących Wielkanoc to przede wszystkim obrzędy Wielkiego Tygodnia i określona oprawa liturgiczna. Na przestrzeni ostatnich lat te ceremonie uległy zmianie. Tak jest np. z mszą rezurekcyjną. Dlaczego odprawia się ją w Wielką Sobotę?

Wielkanoc (inaczej mówiąc święta paschalne) to najstarsze i najważniejsze święta w liturgii Kościoła. Już sama nazwa mówi, że są to święta wielkiej nocy, a więc czasu pomiędzy Wielką Sobotą a niedzielnym porankiem. Można powiedzieć, że jest to moment, w którym Chrystus wymknął się ludzkiemu postrzeganiu i zmartwychwstał, chociaż nikt nie widział jak. Dopiero w niedzielę rano spostrzeżono, że jego grób jest pusty. A zatem uważano tę noc za tak ważną, że nie można jej przespać. Dlatego dawniej uroczystości Wielkiej nocy rozpoczynano nie tak, jak to bywa dzisiaj, około godz. 18 czy 19, ale około północy i świętowano do wschodu słońca. To, co my mamy w naszej mentalności podzielone na uroczystość Wielkiej Soboty i niedzielną mszę rezurekcyjną, było jednym długim obrzędem.

Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego obrzędy Wielkiego Tygodnia u dominikanów są jak udział w maratonie, trwają po kilka godzin, gdy tymczasem w parafiach często mamy do czynienia ze sprintem ...

Organizacja liturgii jest na tyle elastyczna, że możliwe są modyfikacje. To wszystko zależy od wielu czynników: jak liczna jest parafia, czy w uroczystościach bierze udział chór, schola itd. Weźmy np. obrzędy Wielkiej Soboty. Kapłan może wybrać osiem czytań – tak jak to przewiduje liturgia – i skomentować je osobno, ale może też zostać przeczytana połowa czytań, a po ewangelii kapłan skomentuje całość w jednej homilii. Wszystko zależy od możliwości parafii i chęci parafian.

Czy wiemy, jak Wielkanoc świętowali pierwsi chrześcijanie?

Liturgicznie – tak, wiemy. Zachowało się do naszych czasów trochę pism, które o tym wspominają, jak chociażby pamiętnik hiszpańskiej pątniczki Egerii, która podróżowała do Ziemi Świętej i pozostawiła opisy, w jaki sposób tam sprawowano nabożeństwa i obchodzono uroczystości. Tego rodzaju przekazy nadały zrab dziśszej liturgii. Reszty możemy się domyślać.

Dlaczego świętujemy Wielkanoc, tak jak świętujemy? Mam na myśli cały ten folklor ludowy, kraszanki, śmigus-dyngus, określone potrawy – ile w tym religii, a ile ludyczności?

Liturgia bardzo płynnie wpisuje się w rok kalendarzowy. Człowiek od zawsze próbował całą tę zastaną rzeczywistość świata układać w całość i tłumaczyć. Ludzie przeżywali zmartwychwstanie Chrystusa w wymiarze duchowym, ale jednocześnie obserwowali budzącą się do życia przyrodę. Z jednej strony Chrystus, który jest dawcą życia, z drugiej pąki na drzewach, bazie czy te wspomniane wcześniej kurczaczki, które wykluwały się na wiosnę. Wszystko to się dopełniało. Pamiętajmy, że chrześcijaństwo wyrosło w pewnej kulturze. Chrystus pojawił się w jakiejś konkretnej rzeczywistości historycznej, kulturowej, w której ludzie mieli już jakieś zwyczaje. Zmienił ich życie, jeśli chodzi o wartości, natomiast reszty już nie: to samo otoczenie, społeczność, znajomi. To pięknie pokazuje, że życia ludzkiego nie można szatkować na plasterki. Tu plasterki duchowy, tu fizyczny, tu jeszcze inny. Człowiek jest jednością.

Stąd zapewne też zwyczaje, które trudno łączyć z religią np. śmigus-dyngus...

Niekoniecznie – pamiętajmy, że Wielkanoc to czas chrztu katechumenów. Początkowo chrzczono ich inaczej niż robi się to dzisiaj np. w przypadku małych dzieci, czyli przez polanie główki wodą. Wtedy człowiek wchodził do basenu chrzcielniczego cały i wychodził z niego mokry. Czyli wyglądał podobnie jak niektórzy w lany poniedziałek.

NA DZIEJOPISA JAŚNIEJĄC URZĘDZIE

Czy stałbym tu przed Państwem dziś, gdyby nie jeden, jedyny dzień prawie 50 lat temu? – pytał prof. Witold Molik, historyk XIX w., na obchodach 70-lecia swoich urodzin i odejścia na emeryturę.

Z braku innych miejsc na uczelni dla wybitnego studenta, Witold Molik trafił do nowo wówczas utworzonego Zakładu Historii Polski Ludowej. Pokonując swój brak zainteresowania tematem zaczął przygotowywać tam bibliografię do historii PRL. Jednak wkrótce – i to był właśnie ten przełomowy dzień, 17 września 1972 roku – doc. Stanisław Kubiak, tym zakładem kierujący, wezwał go i oznajmił, że uczelniana POP (Podstawowa Organizacja Partyjna) nie zgadza się na to zatrudnienie, gdyż... świeżo upieczony magister jest wojującym katolikiem. Wojującym? – zdziwił się młody historyk. Tak, doniesiono, że ojciec pana prowadził pod rękę proboszcza w procesji na Boże Ciało – brzmiała odpowiedź. Strapionego utratą możliwości pracy na uczelni (choć i trochę zadowolonego, że nie musi już męczyć się niemiłą mu tematyką) Witolda Molika spotkał na schodach prof. Jakóbczyk, opiekun jego pracy magisterskiej i dowiedziawszy się, co zaszło, poruszył niebo i ziemię, aby zatrudnić go w Zakładzie Historii Polski XIX i XX w. Tak właśnie prof. Molik został „dziewiętnastowiecznikiem”. I w tej właśnie dziedzinie stał się niekwestionowanym autorytetem naukowym, nie tylko w kraju. – Dlatego osobie, która wówczas na mnie doniosła, jestem dożywotnie wdzięczny – stwierdził prof. Molik.

Od Działyńskich do inteligencji

Urodził się w Bninie, w 1949 roku. W kórnickim liceum, w cieniu zamku kórnickiego (także dzięki nauczycielce Leokadii Langner – jak z wdzięcznością wspominał na jubileuszu) zrodziło się jego zainteresowanie XIX wiekiem, zwłaszcza w Wielkopolsce, któremu pozostał wierny przez całe naukowe życie. Rozpoczęło się ono wcześniej, bo już praca magisterska o Janie Działyńskim, niesprawiedliwie pozostającym w cieniu swego ojca Tytusa, ukazała się drukiem. Drugim jego mistrzem, po prof. Jakóbczycu, był prof. Lech Trzeciakowski (to po nich przejął później kierowanie Zakładem Historii Polski XIX i XX wieku) i pod jego kierunkiem powstała praca o inteligencji w Wielkopolsce, obalająca pokutujący mit o tym, że Wielkopolska takiej warstwy... nie miała. Z tą tematyką prof. Trzeciakowski wprowadził go do PAN-owskiej grupy wybitnych uczonych

zajmujących się badaniem inteligencji. Od tego tematu był już tylko krok do badań nad dziejami ziemiaństwa wielkopolskiego. Miała to być habilitacja, lecz z różnych względów tematem pracy habilitacyjnej stali się Polacy na niemieckich uniwersytetach. Książka „Życie codzienne ziemiaństwa” ukazała się dopiero w 1999 roku.

Zadania piękne i trudne

Badania nad XIX-wieczną Wielkopolską siłą rzeczy wymagały kontaktów z niemieckimi naukowcami. Były one nie tylko do-
rażne, lecz przekształcały się w naukowe przyjaźnie i wieloletnią współpracę. Prof. Molik m.in. przez 20 lat niestrudzenie rozwijał kontakty polsko-kilońskie w Instytucie Historii. Sam do skomplikowanych polsko-niemieckich dziejów podchodził jak wytrawny historyk, bez emocji, a z wielką chęcią poznania innego punktu widzenia, czego dowodem jest choćby jedna z konferencji przez niego organizowanych pt. „O nas bez nas” czyli o tym, jak piszą o dziejach Polski historycy z zagranicy. Jak sam wspominał w jubileuszowym przemówieniu, kierował się słowami Witolda Kuli, że zadaniem historyka jest uczynić społeczeństwo świadomym i że „zrozumieć innych to zadanie, jakie powinien sobie stawiać historyk. Niełatwo o zadanie trudniejsze, trudno o piękniejsze”. To zrozumienie dla innych stosował także w pracy organizacyjnej: kierując Zakładem Historii Polski XIX i XX wieku unikał konfliktów i ideologicznych ocen. Z empatią umiał dostrzec niuanse ludzkich wyborów, także tych, które obce były jego systemowi wartości. Liczyły się tylko osiągnięcia naukowe.

Zawsze Wielkopolska

Prof. Molik, ubolewając nad słabą znajomością dziejów Wielkopolski poza granicami regionu, utworzył na UAM Centrum „Instytut Wielkopolski”. Nie bez odrobiny gorzkości skarżył się, że niełatwo jest zdobyć fundusze i zrozumienie dla tej inicjatywy w samorządach, wspominając na przykład, że gdy wielkopolski słownik biograficzny ma 1 tom i jest niepełny, pomorski liczy 7 tomów. Jego marzeniem było nadanie nowego oblicza



FOT. ADRIAN WYKROTA

badaniom regionalnym, aby były zarówno bardziej profesjonalne, jak i ...bardziej interesujące. Gotów był zawsze służyć w takiej sytuacji radą i pomocą. Jednym z projektów Centrum było wydanie antologii tekstów pt. „Etos Wielkopolan”. Ten etos fascynował go przez lata, zwłaszcza w kontekście porównywania w czasie zaborów Wielkopolski do Beocji, krainy starożytnej Grecji, cechującej się „gnuśnością duchową i pogardą godnym nieuctwem”. Czy byliśmy rzeczywiście Beocją? – pytał i udawał, że nie.

*Zrozumieć innych to zadanie,
jakie powinien sobie stawiać historyk.
Niełatwo o zadanie trudniejsze,
trudno o piękniejsze*

Profesor był i jest zapalonym podróżnikiem, zarówno po dalekich krajach, jak i po Wielkopolsce. Wiele lat temu pierwsze zarobione pieniądze przeznaczył na rower, którym wyruszył w objazd po regionie. Cel wypraw po Wielkopolsce – zawsze interesujący – często jest niespodzianką dla zaproszonych na nie uczestników. Dziekan Wydziału Historii UAM prof. Kazimierz Ilski w swojej jubileuszowej laudacji dodał jeszcze inne, mniej naukowe zainteresowania: cięższą odmianę rocka, ogrodnictwo oraz kolekcjonowanie podstawek do piwa, których zebrał niemal 2 tysiące. To ostatnie hobby uprawia bez zainteresowania

samym piciem piwa, tylko historią, która odbija się na napisach podstawek. Uczniowie mówią jeszcze o fotografii, a sam profesor o malarstwie, oczywiście XIX-wiecznym.

„Szkoła Molika”

W kularach uroczystości jubileuszowej usłyszałam fragment rozmowy: Molik był surowy – mówił jeden głos. Ale zawsze sprawiedliwy – dodał drugi. Właśnie przez te wymagania wypromował tylko 8 doktorów. Choć profesor uważa, że opinia o jego wymaganiach jest przesadzona, to na jubileuszu jego uczniowie dziękowali za... surowość ocen, która podnosiła poziom ich prac i przyznawali się do członkostwa w „szkole Molika”. A wysokie wymagania, których tak bali się doktoranci, okazały się skuteczne: wszystkie dysertacje znalazły się w druku, a niemal wszystkie otrzymały wyróżnienia. Profesor jest znany z utrzymywania pewnego (XIX-wiecznego!) dystansu i przestrzegania zasad.

Współpracownicy ofiarowali mu na jubileusz książkę, obejmującą rozproszone i często bardzo dawne artykuły prof. Molika. – Sam jestem ciekaw, co pisałem – mówił zaskoczony profesor, przewracając kartki książki. Odejście na emeryturę prof. Molika kończy pewną epokę szkoły poznańskich dziewiętnastowieczników, ale nie oznacza zakończenia działalności naukowej prof. Molika. Już zapowiedział przygotowanie wielkiej monografii o uniwersytecie poznańskim z uwzględnieniem karty dotyczącej u nas zupełnie nie zbadanej, a mianowicie dziejów pruskiej Akademii Królewskiej, powołanej w Poznaniu w czasie zaborów. Dzieło to dołączy do ponad 400 prac znajdujących się już w bibliografii prof. Molika. Nie będzie ostatnie, bo jak we fraszce jubileuszowej podkreślił jeden z uczniów: „na świętym dziejopisarza urządzie jaśniejąc – pisz dalej”.

Maria Rybicka



Zaczęły się zdjęcia do kursu MOOC, który Uniwersyteckie Studio Filmowe realizuje wraz z pracownikami Instytutu Filologii Polskiej UAM. Okazała przestrzeń nieukończonego Teatru Maski w DŚ Hanika stała się miejscem rozmowy naszych ekspertów.